№ 19. Warszawa, dnia 30 Kwietnia (12 Maja) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

JAN SOBIESKI W PARYŻU.

Dwóchsetletnia rocznica tryumfu Jana Sobieskiego, to jest świata chrześciańskiego nad światem muzułmańskim, wywołała wiele i wywoła więcej jeszcze ważnych publikacyi, odnoszących się do tej epoki. Francya, mimo ciężkich prób jakie przechodzi, bierze udział w tej manifestacyi na cześć bohatera naszego.

Jednym z tych objawów, jest illustrowana księga pana Vachon, pod tytułem: *Le monument de Jean Sobieski*. Jest to opis pomnika, wykonanego zaraz po zwycięztwie pod Wiedniem, w mieście Puy, w głębi auwerniackich lasów, przez znakomitego rzeźbiarza Piotra Vanneau. Wielki ten pomnik składa się z posągu króla, z czterech symbolicznych figur i dziesięciu pysznych płaskorzeźb, przedstawiających pogrom Islamu i apoteozę Jana III-go. Wszystkie te figury i rzeźby, rozrzucone są dziś po rozmaitych galeryach; cztery z nich tylko, znajdują się w ręku polskiem; w zbiorach hrabiego Branickiego w Montresor. Pan Vachon biegły starożytnik, zebrał starannie rysunki z owych rozpieszchłych części, i odtworzył z nich wspaniałą całość w swej pomnikowej księdze.

Polacy przebywający w Paryżu, starają się ułatwić Francuzom bliższe poznanie rzeczy. Główną zasługę położyło tu Towarzystwo dawnych uczniów szkoły batignolskiej. W tylko co ogłoszonym jego buletynie, czytamy bardzo ciekawy opis podróży dwóch młodych Sobieskich Jana i Marka do Francyi w roku 1646. Rzecz ta wzięta z dokumentów, wydanych świeżo przez akademią krakowską a odnoszących się do epoki Jana Sobieskiego.

Przytaczamy tu główne dane z tej zajmującej relacyi.

Było to roku pańskiego 1646, w trzecim roku regencyi Anny austryaczki i kardynała Mazaryniego, 9-go czerwca o zmroku. W bramę św. Marcina, wjechał orszak konny, złożony z czterech młodych paniczów, z dwóch mężów statecznych w których łatwo było domyślić się ochmistrzów, z dwóch poważnych dworzan ze szpakowatym włosem i z jednego pachołka. Tych dziewięciu podróżnych wjechało w ulicę św. Marcina, i zatrzymało się przed gospodą pod krzyżem żelaznym, najpierwszą w tej stronie miasta.

Zaprowadzono konie do stajni, a jeden z dwóch siwych dworzan, najął pokoje i podał gospodarzowi nazwiska przybyłych, trochę dziwne dla ucha Paryżanina: Marek i Jan Sobiescy, pierwszy lat ośmnaście, drugi siedmnaście, Stefan Zamojski i Krzysztof Skotnicki, każdy lat ośmnaście, ochmistrze ich panowie Paweł Orchowski i Marcin Lisowski, dwaj starzy dworzanie, Sebastyan Gawarecki i Rudolf Klainfeld, nazwisko pachołka czy kucharza nie było wymienione.

Wieczorem po obiedzie, kiedy podróżni odeszli do pokojów swoich, Sebastyan Gawarecki wdał się w długą rozmowę z młodymi Sobieskiemi, których ojciec powierzył jego troskliwem staraniom. Odczytali razem instrukcye nakreślone własną ręką tego dobrego ojca, Jakóba Sobieskiego wojewody ruskiego, gdy wyprawiał synów do Francyi. On sam zwiedzał ją w roku 1610, wówczas właśnie kiedy Henryk IV padł pod żelazem Ravailloka.

Gawarecki przypomniał młodzieńcom, że powinni starannie utrzymywać dziennik podróży, jak to czynili w przejeździe przez niemieckie kraje.

— W tej gospodzie — rzekł — zabawimy tylko dni kilka, gdyż czcigodny wojewoda ojciec wasz, zalecał wyraźnie, abym was ulokował w *uniwersytecie* (to jest w łacińskiej dzielnicy), raz że tam spokojniej, a potem, że mniej przebywa tam cudzoziemców i Polaków, niż w innych częściach miasta.

— Trzeba nam — rzecze na to Marek — wyuczyć się jak najprędzej po francuzku, abyśmy mogli potem zamieszkać w mieście i uczęszczać do panów dworskich.

— W rzeczy samej — dodał Jan — trudno byłoby nam teraz przemawiać do nich inaczej jak po łacinie, a zdaje się, że ci panowie nie skorzy do tego języka.

— Łatwo odgadnąć powód — rzekł Gawarecki sam nie tęgi łacinnik.

— Mniejsza o to — przerwał Marek — zobaczymy dwór z daleka wprzód nim się do niego przybliżymy. Ojciec żądał, abyśmy brali udział we wszystkich uroczystościach religijnych i światowych, kędyby można spotkać królową matkę i młodego króla. Upomniał tylko abyśmy unikali wszelkich sprzeczek z młodą szlachtą francuzką, nie grali z nimi w karty, bo to podobno wielkie zawadyaki i głowy lekkomyślne.

— Mamy również unikać naszych ziomków, przebywających w Paryżu — zawołał Jan — ojciec nasz nie szczególne ma o nich wyobrażenie. Ależ ja myślę, że dyabeł nie tak straszny jak go malują i że znajdziemy pomiędzy nimi kilku dobrych przyjaciół a potrafimy obronić się od tych coby nam szkodzić chcieli.

Mówiono potem o planie nauk skreślonym przez wojewodę, o jakimś statecznym mistrzu języka francuzkiego, którego wynaleźć trzeba, o rozmowach z gospodarzem domu, jego żoną i córkami, na co pozwalał wojewoda, pod warunkiem, żeby

to były panienki uczciwe, mówiono też o przyjęciu lokaja niemca, dla wprawy w tym języku, o profesorze nauk klasycznych, któryby wykładał łacinę. Baczny ojciec w ten sposób rozporządził czasem; codzień przeznaczył godzinę na ćwiczenia w stylu, godzinę na lekcyę historyi, pół godziny na przygotowanie się do niej, pół na poprawienie kompozycyi, wszystkiego trzy godziny z rana, po obiedzie lekcya języka francuzkiego.

Ćwiczenia ciała, szczególniej konna jazda i karuzel bardzo im były zalecone, równie jak taniec *la Gaillarde*, aby mogli pięknie wystąpić na dworze przyszłej królowej, Maryi z Gonzagów, zaręczonej z królem Władysławem IV-tym, i wprowadzić do Warszawy ogładę francuzką. Co do muzyki ojciec nie wiele dbał o nią. „Żałowałbym, mówił, aby mieli czas tracić na takie błazeństwa", zostawił im jednak zupełną wolność.

Dwaj bracia, odczytali jeszcze uwagi wojewody dotyczące ekonomii i rady odnoszące się do pilnego spełniania obowiązków religijnych, a potem stosownie do tychże rad odmówili pobożne modlitwy wieczorne i poszli na spoczynek.

I.

Sebastyan Gawarecki dotrzymał słowa: dziennik jego należy do bardzo ciekawych dokumentów. Człowiek ten prosty, łatwowierny, nie rozumie wysokich kombinacyi politycznych, miesza nieraz wierutne bajki do opowieści swoich. Napisy łacińskie w dzienniku, kreślone są ręką Marka Sobieskiego. Oto kilka wyjątków zebranych tu i owdzie z tej ważnej relacyi.

„Dnia 20 czerwca 1646 roku, przenieśliśmy się do innej gospody „pod złotym krzyżem" naprzeciwko Sorbony. Panowie Zamojski i Skotnicki zamieszkali pod „Białą Różą", przy ulicy św. Jakóba. Młodzi nasi podróżnicy znaleźli w sąsiedztwie kilku Polaków. Dwaj księża bracia Grabieccy, mieszkali w klasztorze Dominikańskim św. Jakóba, od dziesięciu lat byli już w Paryżu, ubiegali się teraz o stopnie doktorów w Sorbonie. Był także doktor Lewowicz z Litwy i kilku innych.

Dalej następuje opis miasta:

„Paryż położony mniej więcej na równinie, z jednej strony wznosi się wzgórek św. Genowefy. Środkiem miasta przepływa dość wielka rzeka Sekwana, widać na niej statki podobne do naszych, ale daleko węższe. Miasto opasane do koła murem, nie szczególnie utrzymanym, dalej idą okopy. W obrębie murów, krzyżuje się mnóstwo ulic wązkich i błotnistych. Ludność bardzo liczna. Są tu piękne kamienice i pałace przepyszne, mianowicie pałac królewski nazwany *Luver*. Jeśli go kiedyś skończą, nie będzie miał równego w świecie całym. Dotąd połowa tylko wykończona. Leży nad rzeką, cały zbudowany z ciosowego kamienia, według pięknego planu, z ogromnym kosztem, wielki jakby jakie miasteczko, o ile sądzić można z tego co już widzimy. W pośrodku, to jest w dziedzińcu, jest wielki i piękny ogród. Z drugiej strony inny znów ogród, nazwany *Tuleri* służy za miejsce przechadzki dla ludzi wszelkiego stanu. Widzieliśmy w nim żywego lamparta, skakał wysoko chwytając rzucane mu mięso. Widzieliśmy też sępa i dwóch orłów w tymże ogrodzie.

W pałacu tym (Luwrze) rezyduje królowa angielska Henryeta (Henriette de France), małżonka Karola I-go, która zbiegła tu, skutkiem powstania przeciw królowi, zabrawszy starszego syna księcia Walii. Mieszka też w owym pałacu, *panna* z domu Montpensier, córka księcia Orleanu, *la grande Mademoiselle.*"

Następują potem szczegóły o Luksemburgu, o pałacu królewskim, dawniej kardynalskim i pięknym przy nim ogrodzie, przeznaczonym wyłącznie na przechadzkę dla rodziny królewskiej; (dzisiejszy *Palais Royal.*) Dalej mowa o pałacu Mazariniego i siedmiuset kościołach, licząc w to zapewne i kaplice, o katedrze Panny Maryi, (Notre Dame), o nowo zbudowanym kościele Jezuitów, o kościele Sorbońskim, niewykończonym jeszcze. Gawarecki opisuje *pałac sprawiedliwości* i plac królewski obudowany w czworobok, otoczony portykiem, z konnym w środku pomnikiem *Loysa XIII-go*, opisuje również arsenał i starą Bastylią, przeznaczoną na więzienie dla samych książąt i wielkich panów. Z podziwem patrzy na mosty, zabudowane z obu stron rzędem domów, przez co wyglądają jakby wązkie ulice. Uderzył go szczególniej ogromny most *Pont Neuf*, cały z ciosowego kamienia, u spływu dwóch ramion rzeki, ozdobiony w środku wielkim posągiem konnym Henryka IV. „Tu jak mówi, łotrzykowie rozbijają przechodniów zwłaszcza nocą: w ulicach także pełno szubrastwa, potrzeba się mieć na ostrożności."

W tych czasach właśnie, przygotowywała się wojna domowa, zwana *Frondą*, przeciwko Mazaryniemu, ztąd umysły silnie były poruszone. Już w roku 1644, na lat dwa przed pobytem Sobieskich, objawiły się pierwsze znamiona burzy, co miała zawichrzyć kraj przez cały czas małoletności Ludwika XIV-go.

II.

Zwiedziwszy Paryż, podróżni nasi rozpoczęli wycieczki po okolicach. Zaczęli od St. Denis. „Miasteczko to małe z wielkim kościołem, mówi Gawarecki, tu się chowają królowie francuzcy. Rzecz godna widzenia, zwłaszcza grobowce królów, z rozmaitego marmuru, z posągami i napisami." W skarbcu podziwia szczególniej róg łowiecki cały z jednej sztuki, długi na trzy łokcie i latarnię cudnej roboty.

„Z Saint Denis, mówi dalej, pojechaliśmy o milę drogi do pałacu *Mr. Hemry* (niewątpliwie Montmorency)." Jan Sobieski nie przewidywał, że to miejsce będzie kiedyś nekropolią polską, gdzie obok walecznych wodzów, spocznie najsłynniejszy nasz poeta.

Odwiedzili później górę Montmartre (górę męczenników) panującą nad Paryżem, z której, jak mówi Gawarecki, św. Dyonizy opowiadał paryżanom wiarę chrześciańską, jeszcze za życia Zbawiciela. Trzecia wyprawa do St. Germain, o pięć mil za Paryżem drogą prześliczną. Miasteczko małe, ale jest w niem wielki pałac nad Sekwaną, letnia rezydencya królowej angielskiej. Wstąpili z powrotem do Saint Cloud, zwiedzili pałac w którym zabity został Henryk III Walezyusz, król francuzki a niegdyś polski. Dalej idzie opis lasku bulońskiego, opasanego murem na kilka mil obwodu, kędy w dnie świąteczne gromadzi się cała ludność paryzka.

„Byliśmy też mówi Gawarecki w *Bon de Vinsan*, tu więziony był królewicz nasz Jan Kazimierz." Mowa tu o lasku Vincenskim. Wiadomo, że w Baszcie tutejszej na rozkaz kardynała Richelieu, więziono królewicza, gdy ten przebywał w Paryżu, podczas zawziętej wojny Francyi z Hiszpanią. Podejrzliwy kardynał uczynił to przez ostrożność, w obawie działań królewicza na rzecz pokrewnych mu Habsburgów.

W ciągu lata, doszła Sobieskich smutna wieść o skonie ojca ich, wojewody. W jesieni, gdy przeszła pierwsza żałoba, młodzi bracia otrzymali zaproszenie na wielkie łowy królewskie w St. Germain. W grudniu zaszła wielka kłótnia między ochmistrzem Lisowskim a doktorem Lewowiczem. Młodzi panicze przenieśli się na ulicę de Seine, na przedmieściu St. Germana, do domu *à la flor de lys*, (pod kwiat lilii). Tu zaczęli się uczyć konnej jazdy, u *Kalwakatora* Foristier i fechtunku u Włocha *Xientainge*, ojciec bowiem zalecił im, aby sobie wybrali fechmistrza tej narodowości, nazwisko przecież wcale nie świadczy o włoskim rodowodzie.

Pierwsze cztery miesiące, roku 1647, Sobiescy przebyli jeszcze w Paryżu. Gawarecki miał w tych czasach niemiłą przygodę. „Otrzymałem mówi on pchnięcie szpadą od łotrzyków, którzy napadli mnie przy ulicy *Szarlatańskiej*, ale dzięki Bogu, po czterech tygodniach, przyszedłem do zupełnego zdrowia."

III.

Dnia 1 maja, 1647 roku, podróżni nasi opuścili Paryż i rozpoczęli *peregrynacyą* po Francyi.

Wyjechali na kołach do Orleanu. Droga na Chartes nadzwyczaj piękna. Zanocowali w Etempes, nazajutrz wieczorem stanęli w Orleanie. W tym mieście przebywało kilku Polaków: Orzechowski, dwaj bracia Kłokoccy, Sawicki i Sobocki. Podróżni nasi, podziwiali tam statuę Dziewicy Orleańskiej (Poucelle de Orleans) i Karola VII-go, 6 maja na statku najętym, puścili się rzeką *Louver* (Loarą) do Blois; zwiedziwszy to miasto, znów rzeką popłynęli do Amboise, następnie do Tours. Ztąd wierzchem na koniach najętych pospieszyli do London, nazajutrz do Laumur. Tu 18 maja wsiedli znów na statek, późno w noc stanęli w miasteczku Ponze (Pont de Ce).

Dosiadłszy koni, puścili się do Augers. Zastali tu również Polaków: Stefana Niemirycza, z ochmistrzem Lubienieckim, doktora Lewowicza, tylko co uwolnionego z więzienia po zajściu z Lisowskim, i niejakiego Wąsowicza *alias* Pakosza, który się tu ożenił, 23 maja popłynęli do Nantes, zkąd pojechali na kołach do Rosulli, Gawarecki opisuje szczegółowo oblężenie tego miasta, przed laty około dwódziestu.

Dnia 3 czerwca wyruszają konną do Poitiers, zatrzymują się w Niort i Lusignan. Stają w Poitiers, pod trzema Pilastrami, gospodzie dotąd istniejącej. W tydzień potem jadą na Blay do Bordeaux, droga trwała dni cztery.

W Bordeaux czekały na nich listy z Polski. Ztąd wycieczka do Catillac, nie bardzo szczęśliwa, gdyż skradziono krzyż i łańcuch Markowi Sobieskiemu. 26 wyjeżdżają do Tuluzy, przybyli 30 w dniu kiedy nowy wielkorządzca hr. Eperney, odbywał tam wjazd uroczysty.

W pierwszych dniach lipca, pospieszają do Narbonay, zatrzymują się w Carcassonne, gdzie widzą pierwsze oliwne drzewa. Zwiedzają po drodze różne południowe miasta: Montpellier, Nimes, Tarascon, Arles, wreszcie przybywają do Marsylii późno w noc 20 lipca, owoż bramy twierdzy szczelnie zawarte, podróżni muszą spać pod gołem niebem. Spędziwszy tu trzy dni, przez Tulon spie-

szą do papieskiego miasta Avinionu. 1 sierpnia, puszczają się do Grenobli, a następnie do Sabaudyi. W Montmelion, stają w gospodzie pod złotym krzyżem u dziewięćdziesięcioletniego Włocha, który przeżył cztery żony i miał dwadzieścia ośm dzieci. Jadą ztąd do Chambery; przez siedm dni przebiegają góry sabaudzkie, nareszcie wracają do Lyonu, a potem spieszą do Roanne, stają pod *Wilkiem*, w gospodzie słynnej na całą Francyą.

Dwa dni płyną Loarą, aż przybyli do Nevers rezydecyi książąt Gonzagów, zkąd rodem Marya Ludwika, przyszła królowa polska.

Po kilku dniach podróży, to konno, to na kołach, to statkiem, przybyli wreszcie do Paryża, na chwilowy spoczynek. W ciągu trzech miesięcy Sobiescy zwiedzili całą środkową i południową Francyą. Podróż ta nadzwyczaj pracowita, trudno dziś pojąć jak jej podółali stateczni ochmistrze i siwi domownicy. Ależ dla krzepkich praojców naszych, zaprawnych od młodu na harcach z Tatarami, trudy zwyczajną były rzeczą.

Drugi pobyt w Paryżu, trwał zaledwie kilka tygodni. Podróżni nasi opuścili stolicę 28 września udając się stąd do Anglii. Po drodze jednak zamierzyli zwiedzić Normandyą i Pikardyą. Udali się naprzód do Rouen, gdzie w gospodzie pod kompasem morskim spotkali się z młodym Opalińskim, synem wojewody poznańskiego, który miał z Hawru popłynąć do Hamburga.

Sobiescy przebiegli konno wybrzeża Normandzkie, od Hawru do Dieppe, zwrócili się potem do Amicas, stolicy Pikardyi. W tem mieście znaleźli kilkuset Polaków, służących w wojsku francuzkiem, a między nimi półkownika Przyjemskiego. Przez Boulogne pośpieszyli do Calais, ztąd morzem do Anglii.

Jan Sobieski przebywał we Francyi, rok i trzy miesiące. Poznał nietylko Paryż, ale i wielką część kraju, dla którego zachował do śmierci szczere i stałe współczucie, pomimo nieporozumień politycznych z Ludwikiem XIV. Związki Sobieskiego z Francyą; ścieśniły się jeszcze, przez małżeństwo z Maryą Kazimierą d'Arquin, wdową po Janie Zamoyskim.

Dokumenta wydane przez Akademią krakowską, a zebrane przez p. Kluczyckiego, oprócz powyższej relacyi, obejmują wiele ciekawych szczegółów z życia króla Jana. Jest tam między innemi, korespondencya Sobieskiego z Maryą Kazimierą, prowadzona przed zawartem małżeństwem. Niektóre listy Maryi pisane po polsku, ortografia w nich pełna błędów; dowodzą one przecież o ile narzecona pragnęła przypodobać się przyszłemu małżonkowi. *S. D.*

Z PIEŚNI MŁODOŚCI.

W NOC MAJOWĄ.

W noc majową, księżycową,
Wśród zieleni i błękitu,
Z młodą głową, rozmarzoną,
Można nie spać aż do świtu.

Jakże spać gdy takie gwary,
Słychać w sadzie, w polu, w lesie,
Wszędzie miłość i jej czary,
Pieśń zachwytu światu niesie.

Szepcą kwiaty, szemrzą drzewa,
Młode serce rwie się z łona;
Tam w jaśminach słowik śpiewa,
A w okienku... słucha ona.

Kochankowie, szczęścia dzieci!
Niech wam zawsze maj się kwieci!

W noc majową, księżycową,
Pełną czarów, piękna, cudu,
W falach nuty płynie słowo
Z serca wieszcza w serce ludu;

Bo przyroda, matka życia,
Stwórczyni wszelkiego wdzięku,
W słowie ludzkiem chce odbicia,
W sercu ludzkiem chce oddźwięku.

I poeta pieśń układa,
Z tonów, z barw, co w przyrodzeniu,
Pieśni dźwięczą jak kaskada,
Przy księżyca oświetleniu.

O poeci! o poeci!
Niech wam zawsze księżyc świeci!

Antoni Kruman.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Na drugi dzień Klemens Bardzki w rannej godzinie wszedł do kamienicy i kiedy zaczął windować się po schodach na czwarte piętro do mieszkania Stanisława, stróż miejscowy zapytał:

— A gdzie to pan idzie?

— Do pana Strońskiego, wszak tu mieszka?

— Tu mieszka — odrzekł stróż — ale go nie ma w domu, bo wyjechał w nocy i niewiadomo kiedy powróci.

— Wyjechał? A gdzie?

— Tego to nie wiem, bo mi się nie opowiedział ale klucz to mam od jego mieszkania.

Wiadomość ta Bardzkiego bardzo zastanowiła. Pogadawszy jeszcze ze stróżem, pożegnał go i pomrukując zaszedł do znajomej nam kawiarni, aby przy szklance kawy pogawędzić z Justysią, zanim godzina rozpoczęcia zwykłych interesów nadejdzie. Dziewczyna tylko co skończyła przygotowania do przyjmowania codziennych gości. Ubrana zgrabnie i strojnie, powitała Bardzkiego ze zwykłą sobie zalotnością i spytała się bez ogródki czy mu się podoba?

— Śliczna jesteś jak zawsze moja Justysiu — odrzekł Bardzki — ale strzeż się furfandzkich młodzików, bo to wszystko jak wiatr, pędzą za marą a nie wiele widzą ziemi po której stąpają.

— Nieznośny z pana zazdrośnik — zawołała Justysia — zapominasz o przyrzeczeniu, że nim nie będziesz, a jednak ..

Wtem wszedł Wosio.

— Ah! dobrze, że przyszedł pan Wosio — zawołała Justysia — bo mi pomożesz do wyłajania tego starego zazdrośnika, który mi ciągle jakiemiś przymówkami dokucza.

— Ej! mała paplo, sroczko wygadana — odrzekł Bardzki — nie idzie tu o twoje do wszystkich mizdrzenia, boć przecie wiem, że każdy musi swego fachu pilnować, tylko o interes co mi się popsuł tak niespodziewanie, że o mało mnie dyabli nie wezmą. A wszystkiemu winno szaławilstwo młodego, któremu gwałtem się zdaje, że jest olbrzymem wśród karłów, którym może walić w nos szczutki wedle swej woli i chęci.

— I cóż to takiego się stało? — zapytał Wosio razem z Justysią.

— A jużcić stało się zupełnie niespodziewanie i to w chwili, gdy byłem pewny smacznego kęsa, a ten brzdęk na ziemię i stłukł się na drobne kawałki.

— To go pan pozlepiasz — odezwała się Justysia — ho! ho! wiem dobrze jak jesteś zabiegły i obrotny.

— No, naturalnie będę sobie radzić — odrzekł Bardzki zadowolony odebraną pochwałą — ale jak w tym razie na niewiele się to przyda. Bo wyobraźcie sobie, jedna baba ma siostrzenicę przywiezioną z zaścianka i pragnie ją wydać za pana całą gębą, u którego dukatów jak ulęgałek, a druga baba tę samą dziewczynę chce wydać za akademika, który się w niej kocha zapamiętale. Siostrzeniczka niby panu sprzyja ale i do owego młodzika strzela dobrze oczami. Z tą drugą babą wzięliśmy go w opiekę, mieliśmy wszystkie usunąć przeszkody, nastręczyć mu suty zarobek przy porządkowaniu starych akt i dokomentów, potem wyrobić nominacyą na patrona, urządzić mieszkanko jak klateczkę i wreszcie tak pokierować wszystko, aby owa siostrzeniczka jak ptaszek sama do klateczki sfrunęła i panu pokazała figę. I byłoby wszystko poszło sprawnie i gładko, byłbym chrupnął dobrą z tego grzankę, ale cóż z tego, kiedy młodzieniec klin sobie zabił w mózgownicę i prysnął w świat szukać czego nie zgubił. Głupiec! wierutny głupiec!

— Hm! — mruknął Wosio — albo nieszczęśliwy. Jabym umiał nim zostać.

— Ty, filozofie? — zapytał Bardzki — ty, który tak dbasz o jutro jak pies o piątą nogę?

— Tak jest, ja — odrzekł Wosio z niezwykłym zapałem, ja, niedbalec, niepatrzący dalej jak na koniec swego nosa. Ale tu inna sprawa. Gdy posucha dręczy ziemię, czyż nie widzisz jak na niej wszystko obumiera? I ja obumieram i pytam się dlaczego tak się dzieje, gdym na to nie zasłużył? Odpowiedzi znikąd nie ma, więc cóż warte takie życie? Spycham je, aby dziś, bo niewarto kłopotać się jutrem, które znowu będzie mnie męczyć, dręczyć, kłóć, śpilkować i narażać na to, aby tacy jak ty ślepcy nazywali mnie głupcem wierutnym!

— No, no, filozofie — mruknął Bardzki — zadaleko trochę zajechałeś. Co innego jest interes a co innego to co go popsuło. Przecieć i we mnie stara krew płynie...

— Do dukata — domówiła Justysia.

— Ej! figlarko, nie draźnij mnie!

— Cicho chciwcze! — zawołała Justysia. — Wstyd ci, że się wygadałeś i mnie wstyd za ciebie. W tej chwili pana Wosia pokochałam a ciebie znienawidziłam, boś człek bez duszy i serca, bryła gliny, ćma nocna w gonitwie za blaskiem ginąca w płomieniu. I ty tak zginiesz marnie...

— Bodajeś przepadła! — zawołał Bardzki, i pożegnawszy się z Wosiem poszedł do pani Sabiny,

aby jej udzielić wiadomość o nagłym wyjeździe Stanisława.

— Ciekawym co teraz zrobią? — myślał Bardzki. — Jak zapobiegną, aby starożytny ród Długoszów uniknął poniżającego związku z lichotą zaściankową? Wzięli się do tego mądrze i uczciwie, ale i drugiej stronie sprytu nie brakowało!

* * *

Minęło lat kilka. Burza pomknęła i zrobiła wszystko co do niej należało. Wiekowe dęby wstrząsły się, niektóre padły próchno rozsypując, drugie poszarpane, stały krzepko dumne, że się oparły zniszczeniu. Lasy warczały przeciągłem echem, pola wyły szalonym wichrem bezlitosnym. Wrzszcie burza przycichła, horyzont rozjaśnił się... zamajaczyły na nim niewyraźne światełka, niby płatki śniegu lub gołąbki z oliwnemi gałązkami spokoju. Ludzie zabrali się do przerwanej pracy a patrząc na rozsiane wszędzie zgliszcza smutnie potrząsali głowami.

Taki los dotknął najbardziej jedną z osad drobnej szlachty, przedtem dość zamożnej, ludnej, zabudowanej na rozległej płaszczyźnie, wzgórkowatej, w której każdy dworek z gospodarczemi budynkami okalał sad owocowy. Burza wszystko to obróciła w ruinę: gdzie stały dworki, sterczały teraz wśród gruzów uczernione od ognia kominy: po drzewach pozostały tylko pnie, po płotach ślady, pustka, wszędzie widniała a dziatwa bosa koszulkami jedynie okryta, bawiła się zbieraniem kupek popiołu.

Mieszkańcy ratując się w spadłem na nich nieszczęściu, zabrali się do wznoszenia nowych budynków; zamożniejsi już je dachem pokryli, inni przysposobili dopiero potrzebny do tego materyał, a najbardziej niedolą dotknięci wkopawszy się w ziemię osłonili doły na prędce czem mieli pod ręką, tworząc szałasy, przez które wiatr przewiewał, i deszcz wciskał się różnemi szczelinami.

W jednym z takich na uboczu stojącym, należącym do Marcina Bociaga, na nędznem łożu z gałęzi jodłowych złożonem, leżał sam gospodarz wycieńczony chorobą, z rękami złożonemi na piersiach i oczami przymkniętemi.

Blady, zarośnięty, wychudzony jak szkielet, z włosami już dobrze osiwiałemi, zdawał się więcej umarłym jak żywym, tylko z ust poruszających się, znać było, że czuwa jeszcze i modli się, że duch rwie się od ziemi a ziemia go trzyma przy sobie.

Na środku szałasu, na barłogu, leżał mały sześcioletni chłopczyna, okryty starym jakimś łachmanem; spał w najlepsze, jakby w puchowej pościołce, ukołysany śpiewem kochającej go matki. Nie było jej nigdzie, ale widać, że nad dziecięciem tam w wyżynach czuwało jej serce miłością przejęte, bo na buziaczku chłopczyny przedtem zapłakanym, uperlonym łzami, igrał uśmiech kwiatu błyszczącego kroplami rosy porannej.

Tuż przy chłopczynie na podwyższeniu z cegieł ułożonem, siedział dobrze już podstarzały mężczyzna, wysoki, silnej budowy, ubrany w płaszcz żołnierski dobrze podszarzały, w furażerce także wojskowej bez daszka na jedno ucho spadającej i zajęty był pilnowaniem ognia na cyganku i kilku garnków z gotującą się strawą. W ustach trzymał fajkę na krótkim cybuszku, ale tylko z nałogu, bo ogień dawno przygasł a o nałożeniu jej świeżym tytoniem ani pomyślał.

Twarz jego więcej była zamyślona jak smutna, znać było że krzepki ciałem krzepkiego miał ducha. Wpatrując się w ognisko, porządkując węgle i palące się kawałki drewienek, których spora kupka razem z siekierą leżała przy nim, często zwracał spojrzenia ku choremu i za najmniejszem jego poruszeniem zbliżał się, przypatrzył, nadsłuchiwał i znowu zajmował opuszczone stanowisko.

Chłopczyna spał ciągle, a chory się modlił. Na dworze była śliczna pogoda wiosenna: marzec dochodził do schyłku dni swoich, słońce dogrzewało jakby wśród maja. Ptactwo świegoliło, zabrzęczała czasem i pszczoła złudzona przedwczesnem ciepłem, pługi skrzypiały w polu, owce beczały, bydło ryczało, ruch wszędzie rozpościerał się, praca podnosiła, w jednym tylko szałasie chorego cisza panowała przerywana jedynie westchnieniem starego żołnierza lub głośniejszym szeptem modlitwy umierającego.

— Bracie Janie — rzekł wreszcie chory z wielkim wysiłkiem — bracie, przybliż się...

— Jestem, jestem—odrzekł stary wojak, przystępując do łoża szybkim krokiem, jakby zajmował posterunek i zasiadłszy na jedynym stołku przy łożu, zapytał:

— Cóż mi powiesz mój Marcinku, zdaje mi się że spałeś?

— Modliłem się...

— To dobrze, kto z Bogiem to Bóg z nim, reszta nie warta i garści kłaków. Zapewne ci lepiej teraz?

— Lepiej... dziś jednak umrę, ale przebaczyłem... jak mi to kapłan przy świętej spowiedzi nakazał. Czuję się lżejszym... swobodniejszym...

— Bóg mój Marcinku, wszystkiem rządzi i wszystko sądzi — odezwał się Jan wyjmując z ust fajkę. — Przebaczyłeś bo tak ci należało, z gniewem w sercu nie należy schodzić ze świata, ale ja jeszcze grzebię się na nim i póki żyć będę krzywdy ci wyrządzonej nie zapomnę...

— Zapomnij... zapomnij! — ozwał się Marcin o ile mogąc głos podnosząc.

Jan na nowo włożył fajkę w usta i głową potrząsnął.

— Czy słyszysz Janie? — zapytał chory.—Bogu zostawmy naszą krzywdę... a ty przebacz i zapomnij jak ja zapomniałem i przebaczyłem. Czy słyszysz?

— Słyszę, słyszę, mój Marcinku.

— I zrobisz co ci polecam?

Jan zawahał się, wyprostował, przeszedł do ogniska, machinalnie coś w niem poprawił, chory ciągle wodził za nim spojrzenie.

Jan wreszcie machnął ręką i zbliżając się do brata, rzekł z ciężkim wysiłkiem, ale głosem stanowczym.

— Zrobię wszystko co każesz, bo przez usta umierającego sam Bóg przemawia. Przebaczę i zapomnę.

Marcin wyciągnął rękę, a gdy Jan podał mu swoją, przycisnął ją do ust i przytrzymał długo z czuciem całując.

— Bracie, co robisz? — zawołał Jan i w tej chwili załkał choć oczy miał suche jakby z łez wypalone. Wzruszenie przeszło, Jan wrócił do dawnej powagi choć smutnej, ale pełnej spokoju.

— Bracie — rzekł znowu chory — a gdzie Józio?

— Śpi chłopczyna na ziemi, był głodny, kręcił się, płakał i usnął a ja go odziałem, aby mu było cieplej.

— Podnieś mi bracie głowę, niech go jeszcze raz zobaczę. To wszystko co mi po Stasi zostało. Kraworska wielce zgrzeszyła, mówił dalej chory. Jakby wiedziony przeczuciem chciałem moją Stasię odebrać od niej, ale kto przeprze kobietę, jak co sobie postanowi. Gniewałem się, prosiłem, nic wszystko to nie pomogło i zdobyła dla niej pana a z nim... śmierć przedwczesną. Mój Boże... mój Boże! Bracie podnieś mi głowę..

Jan spełnił życzenie, Marcin wlepił oczy w chłopczynę.

— Niebożątko! — szepnął — nie zna swego sieroctwa. Do matki podobny jak kropla do kropli, obyś jej doli nie zaznał biedaku.

Chory opadł na poduszki, Jan poprawił okrycie na chłopczynie.

— Słuchaj bracie — odezwał się znowu po chwili chory. — Z chudoby mojej po sprzedaniu i po zapłaceniu co komu należało, zostało zaledwie trzy tysiące złotych. Oddaj je bracie jakiemu uczciwemu człowiekowi na prowizyą, chłopczynę trzymaj przy sobie, zachowaj akt ślubu Stasi i metrykę chłopczyny, jako jest Długoszem prawdziwym a nie żadnym przybłędą, a gdy podrośnie radbym, abyś go wyprowadził na księdza. Modlitwy nigdy za wiele za grzeszne dusze, a ja wiele zgrzeszyłem powolnością w całem nieszczęściu Stasi. Niechże się modli, niech prosi Boga, aby grzech co z nas spadł na niego nie przeszkodził zbawieniu duszy.

— Wynajdę jego ojca i powiem mu...—odezwał się Jan, ale mu zaraz przerwał Marcin:

— Nie rób tego... nie rób. Bociagi to stara szlachta od praojców, starsza i lepsza jak Długosze, a że oni w bogactwie i w zaszczytach a my w chudobie i skromności, to taka była wola Boża. Nie szukałem ich, sami przyszli... wyparli się nas... i ja ich nie znam... niech chłopczynie zostanie tylko przezwisko Długosza, w myśli niech będzie przy nas a dla nich obcy, aby krew Bociagów nie poruszyła się w nim gdy pozna, że pyszności w nich więcej jak uczciwości.

— Niechże się tak stanie jak pragniesz — odezwał się Jan ciężko wzdychając — pójdę więc z naszym Józkiem do mego półkownika co siedzi na dzierżawie w Przetykach, a on i pomoże i poradzi najlepiej. Stary to wojak, razem z sobą bojowaliśmy, w poczciwości twardy jak żelazo a i w rozumie wiatr nim nie mota. Gdy mu opowiem wszystko jak wypada, to już Józka nie wypuści ze swej opieki.

— Dobrze Janie, dobrze — odezwał się Marcin z coraz większym wysiłkiem. — Tylko nie szczyć się nazwiskiem Długoszów... osądzone już i przeklęte...

Chory jeszcze coś mówił, ale choć Jan ucho do samych ust jego przyłożył, nic już nie mógł rozumieć.

— Orzeźw się Marcinku! — odezwał się Jan i szmatką umaczaną w wodzie zaczął mu wycierać czoło, oczy i skronie.

— Cóż, lepiej ci bracie? — zapytał po chwili.

Chory milczał: Jan powtórzył pytanie i znowu bez odpowiedzi pozostał. Marcin ukończył obrachunek z ludźmi i modlił się, Jan płaszcz na sobie obciągnął, zapiął na guziki i haftki i prostując się jak na paradnym występie, rzekł wpatrując się w umierajacego:

— Idziesz już bracie... opuszczasz starego żołnierza, któremuś nie żałował ni dachu, ni kawałka chleba. Idź z Bogiem poczciwy bracie i moja potyska niedługo się skończy... coś jednak polecił mi, spełnię wiernie.

Potem ukląkł, przycisnął usta do ręki umierającego i zaczął szeptać słowa modlitwy.

Do szałasu weszło kilka kobiet, śpiący chłopczyna przebudził się, zaczął płakać, jedna z przybyłych wzięła go na ręce, uspakajając złożyła mu rączki i kazała się modlić.

W godzinę później wszystko było skończone!

(*D. c. n.)*

Z poezyi Maryi von Ebner-Eschenbach.

MALUTKA PIEŚŃ.

Malutka pieśń, a jednak ją,
Tak kocham, jak me życie!
— Więc wiesz w niej cóś—zapewne mi,
Ciekawie wy powiecie.

Poezyi trochę zdobi ją,
A dźwięków ilość mała,
Zawarta jednak w dźwiękach tych,
Jest dusza moja cała.

Władysław Buchner.

Z NOTATEK PODRÓŻNYCH

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

III.

Gdańsk nie posiada miejsca przechadzki, ani ogrodów publicznych, ale ma za to w najbliższej okolicy cały szereg miejsc kąpielowych nadmorskich, dokąd Gdańszczanie, zwłaszcza po obiedzie, a w dni świąteczne od rana, śpieszą tłumnie, aby użyć kąpieli i świeżego powietrza. Ułatwia im to bajeczna taniość komunikacyi: na odchodzących co pół godziny z przystani parowcach, bilet 1 klasy kosztuje np. do Neufahrwasser (płynie się trzy kwadranse) 26 fenigów czyli ¼ marki, co dla nas znaczy 25 groszy, a dla Gdańszczan tylko pół złotego, a 2 klasą jeszcze mniej. Statki obszerne, wygodne, pokład zabezpieczony dachem płóciennym od słońca i od deszczu (oby pan Fajans zechciał naśladować je pod tym względem na swoich statkach, na których ta niezbędna dla publiczności wygoda należy do zaginionych tradycyi!). Ruch i ożywienie na kanale ogromne: ciągle mijają się i wyprzedzają parowce i łódki, tratwy i okręty. Co kilka minut jakiś zakład kąpielowy; niedaleko od Neufahrwasser jest także zakład u ujść Wisły, zwany „Weichselmünde”, opodal na prawo za krzakami uchodzi do morza matka rzek naszych. Neufahrwasser, to miasteczko nadmorskie, a naprzeciwko nowy zakład kąpieli morskich, zwany Westerplatte. Jest tu rozległy park; nad morzem wybudowano prześliczny pomost, szybko wznoszą się domy i wille.

Opodal na cyplu bieleje latarnia morska. Naprzeciwko pomostu znajduje się obszerny nowy budynek restauracyjny z werendą, na której zasiadają przybyli goście, kobiety częstokroć z rozpuszczonemi po kąpieli włosami. A włosy to czasem nie lada: tak np. powszechną uwagę zwracała na siebie niezbyt już młoda pani, okryta prawie aż do stóp naturalnym płaszczem ze złocistych włosów.

Wogóle tutejsza rasa ludzka wydała mi się, nie wyłączając płci słabszej, zdrowszą i mocniej zbudowaną, choć może ustępującą w powabach naszym wiotkim rodaczkom.

Panie nie gardzą piwem, szczególniej chętnie popijają ciemne piwo, pojąc nim także i dzieci. Każda rodzina ma ze sobą koszyczek, w którym znajdą się i bułeczki i masło a czasem nawet, dla oszczędności i kawa we flaszce.

Nie braknie także i niezbędnej robótki, jakiegoś illustrowanego dziennika. Niektóre Niemki posiadają nawet ten talent, że jednocześnie i robótkę robią i czytają. Tak tedy odbywa się to wszystko *billig und gemüthlich.*

Najokazalszem miejscem kąpielowem w okolicy Gdańska jest niezaprzeczenie Sobota, przez Niemców zwana Zoppota, zkąd niektórzy i z naszych rodaków, nieświadomi rodzimej nazwy tej odwiecznej słowiańskiej miejscowości, mianują ją z niemiecka Zoppoten lub Zoppotami. Miejscowość ta obecnie ma pozór bardzo schludnego miasteczka zaopatrzonego we wszelkie wymagania komfortu. W ciągu dnia jedenaście pociągów kursuje na półgodzinnej odległości pomiędzy Gdańskiem a Sobotą, a w nich częstokroć, zwłaszcza w niedziele, trudno o miejsce, chociaż wagony są piętrowe.

Domki białe i okazałe wille, a wszystkie otoczone drzewami i ogrodami, ciągną się po obu stronach ulicy Morskiej (Zee Strasse), gdzie także znajdują się wszystkie niemal sklepy. Na końcu tej ulicy znajduje się park, a tuż obok obszerny plac przed Kurhauzem nowo wybudowanym i okazałym gmachem, w którym mieszczą się: sala balowa, czytelnia, restauracya i pokoje dla gości. Ztąd już odkrywa się widok na morze, a długi na kilkaset kroków pomost, zaopatrzony w ławeczki, pozwala gościom przesiadywać, jakby wśród morza i napawać się dziwnie orzeźwiającem i czystem powietrzem. Zapewne to za czystość powietrza sprawia, że nie ma tu żadnych owadów, jak much, komarów i innych pasożytów. Na prawo i na lewo od pomostu znajdują się kąpiele dla kobiet i dla mężczyzn, a na brzegu morskim w głębokim piasku, grzebią się roje dzieciaków, każde z łopatką w ręku.

Sobota jest to ustroń dosyć spokojna a życie w niej niezbyt drogie. Do osobliwości należy policzyć po raz pierwszy napotkany tu przezemnie, a podobno i gdzieindziej w Prusach praktykowany obyczaj, zwany po niemiecku Weinzwang, który zależy na tem, że nie pijący przy obiedzie wina muszą płacić za to karę wysokości pół marki. Tak tedy gdzieindziej płaci się za to co się je i pije, a w Prusach, gdzie wogóle siła i gwałt tak wiele znaczą, płaci się i za to, czego się nie pije i to dziwne urządzenie nazywa się „Przymusem winnym”.

Opłata za prawo pobytu, czyli taksa kuracyjna jest tu umiarkowaną, bo wynosi tylko 9 marek od osoby, łącznie z opłatą za muzykę, która zresztą rzadko słyszeć się daje, natomiast częste są koncerta, za osobną opłatą.

Oprócz tych koncertów, Sobota ubogą jest w rozrywki. W czytelni znajdują się pisma wyłącznie niemieckie, a polskich jeden tylko „Dziennik Poznański”, który zresztą rzadko oglądać było można, gdyż p. restaurator, nie wiedzieć dlaczego chował go pod kluczem.

Przy końcu lipca osobnemi plakatami obwieścił swoje blizkie przybycie doktor i profesor Schradiecki, który oprócz powyższych tytułów mianował się jeszcze „illuzjonistą”, co nie znaczy wprawdzie oszusta, ale coś bardzo podobnego, a mianowicie, że tak powiem łudziciela. Nareszcie zawitał p. illuzjonista, porozrzucał sążniste programy swoich sztuk czarodziejskich, porozlepiał wizerunki własnej osoby, ozdobionej jakiemiś zagadkowemi orderami i zebrawszy sporą ilość marek i fenigów z dwóch przedstawień, na których pokazywał sztuki dosyć pospolite, pojechał gdzieindziej po nowe laury.

Niektórzy szukali rozrywki w wycieczkach na morze, już to w czułenkach wiosłowych, co nie bardzo jest bezpiecznem, już to w bacikach żaglowych, co znowu dosyć jest kosztownem, gdyż płaci się 3 marki za godzinę.

Najbardziej zajmującą jest wycieczka do poblizkiej Oliwy, miejscowości historycznej. Tu już zaczyna się kraj Kaszubów, którzy jak wiadomo są resztkami dawnych słowiańskich Pomorzan i mówią gwarą, która uchodzi za dyalekt języka polskiego.

Główne siedlisko Kaszubów znajduje się nad Bałtykiem, między odnogą Gdańską, a górną Brdą. Zachodnia granica narzecza kaszubskiego i wogóle języka polskiego poczyna się w nadmorskiej wsi Białogorza (Wittenberg w pow. Lęborskim, zkąd idzie na południe, trzymając się za Wierzchucinem przeważnie linii granicznej prowincyi pomorskiej, na Bytowsku Miastku. Południową granicę Kaszub tworzy rzeka Brda, aż do wsi Męcikał, na północ miasta Chojnic, ztamtąd ciągnie się na Karsin, Szmejdę, Kościeszyn, Snincz do Oliwy i Bałtyku, w Gdańsku mieszka cokolwiek Kaszubów na przedmieściach od strony północnej.

Na zachód i południe granicą Kaszubi z Niemcami, na wschód z polskim szczepem Lasaków. W powiecie Lęborskim, granica języka polskiego dwa razy sięga w Pomorze, koło Rolasina, gdzie jest polska parafia, trzeci raz sięga tam w powiecie Bytowskim, gdzie są polskie parafie Ugoszcz i Niezabeszewo. Natomiast wkracza raz granica języka niemieckiego w powiat Kartuski i zabiera dwie wsie: Chośnicę i Borowy las.

Na przestrzeni określonej granicami narzecza kaszubskiego a obejmującej około 100 mil kwadratowych, mieszka 187,000 ludzi, między któremi 161,000 Kaszubów. W tej liczbie nie są podani Kaszubi mieszkający w koloniach na południe Chojnic, w Szynfeldzie i Melanowie i 3,000 Kaszubów Kabatków, w pow. Lęborskim i Słupskim nad Ubskim jeziorem, odłączonych od dzisiejszego głównego siedliska Kaszubów 4 milową przestrzenią, zniemczoną jeszcze przed wynalezieniem druku. Kabatkowie nad jeziorem Ubskiem, jeżeli się stosunki nie zmienią, za sto lat polski język utracą do reszty, lecz tymczasem silnie się opierają zniemczeniu. Język zasila się tam jeszcze jako tako przez wysłużonych żołnierzy, którzy bawiąc w czasie służby w W. Ks. Poznańskiem, gdzie to stacyonują pułki pomorskie, zamieniają swoje narzecze kaszubskie na czysty język polski i wróciwszy do domu rozmawiają ze swoimi tylko po polsku.

(*D. n.*)

POGADANKA.

— Nie, nie i jeszcze raz nie! Chciałem solidaryzować z księżną Walii, lecz wobec ogłoszonego przez nią programu, niepodobna!

Dnia bowiem czwartego maja miał się odbyć meeting, na którym miano poddać pod dyskusyę trzy kwestye:

1. Zniżenie kosztów strojów damskich.
2. Utrwalenie stałości kroju.
3. Zbliżenie toalety kobiecej do męzkiej.

Na pierwszą godzę się zupełnie. Niech będą nie zbytkowe, nie wyszukane (protestuję przeciwko powszechnie używanemu wyrazowi *skromny*, suknia może być tania a nie skromna i na odwrót; sądzę, że wyrażenie *prosta* powinno być najstosowniejsze, gdyż istotnie nie o co innego nam chodzi jak o prostotę). Otóż prostota niech sobie poda rękę z taniością, a wdzięk kobietom wrodzony niech starczy za koronki drogie.

Zbytek nie upiększy nikogo, a wdzięku nie nada ani odrobiny.

Co do drugiej kwestyi, to istotnie nie wiem co odpowiedziéć. Częste zmiany w kroju powodują wydatki, a tych ze względu na paragraf pierwszy należy unikać. Z drugiej zaś strony, niepodobna zagrodzić umysłowi ludzkiemu drogi wiodącej do nowych pomysłów.

O trzeciej kwestyi nawet mówić nie chcę, tak mi się wstrętnie dziwaczną wydaje.

Odkładając też stanowczą odpowiedź w tej tak ważnej kwestyi na późniéj; wspomnę tu o pięknym jubileuszu, którego widownią była Warszawa.

Ah! znowu jubileusz — zawołacie!

Tak, jubileusz i to tylko dwudziesto-pięcie-letni, a powiem nawiasem: oby takich więcej obchodzono chociażby nawet co lat dziesięć.

Dwustu robotników, ubranych odświętnie, w uroczystym nastroju, zebrało się dla złożenia życzeń swemu chlebodawcy, z powodu dwudziesto-pięcioletniego posiadania fabryki garbarskiej. Tym szczęśliwym jubilatem był p. Karol Szlenkier — lecz równie szczęśliwi byli robotnicy.

Pan Szlenkier, rad był, widząc około siebie tyle serc życzliwych, a robotnikom serca kołatały z radości, bo przewodnik ich był zawsze wyrozumiały i sprawiedliwy, a w dzień jubileuszu dał nowy dowód swej zacności. Oto chcąc pokazać jak ceni pracę i jak należy pomagać ludziom uczciwym, obdarował każdego z robotników książeczką oszczędności. Kwota zależała od ilości lat pracy w fabryce, wszystkie ogółem wyniosły około *pięćdziesiąt tysięcy rubli*. Oprócz tego ofiarował jubilat *sześć tysięcy rubli* na rzecz podupadłych kupców warszawskich.

Szczodry to dar, za który należy się p. Szlenkierowi dwoista wdzięczność, od robotników obdarzonych i od całego społeczeństwa. Ta ostatnia z tego powodu, że p. Szlenkier wypowiedział czynem, iż robotnik nie jest tylko automatem do wyzyskiwania, ale że należy mu się wynagrodzenie stosowne do działalności i sumienności. Jesteśmy stanowczo przeciwni rozdawaniu czegokolwiek bez zasługi, lecz jeźli robotnik pracą swą gorliwą przyczynia się do wzbogacenia tak zwanego chlebodawcy, należy mu się także cząstka dorobku. Że pan Szlenkier tak postąpił, zaszczyt mu to przynosi.

Wszystkie pisma pełne są pochwał za ten czyn, nawet te, które gromiły Francyą, za projekt budowania tanich mieszkań dla robotników w Paryżu. Jak to dobrze, że w Paryżu o tem nic nie wiedzą i nie myślą iść za głosem, choćby najwielmożniejszego Kuryera..

Obok daru p. Szlenkiera zapisujemy legat Pieńkowskiego. Przeznaczył on *56,826 franków* na założenie szkoły w majątku Piątki Borowe. Wkrótce zostanie ułożonem, jakiego rodzaju ma być ta szkoła. Ponieważ kilkakrotnie już poruszano kwestyę szkoły rolniczej, niższej, przeto może z tego zapisu ona powstanie.

W każdym razie, jakakolwiek będzie szkoła, byle była. Na tem polu każdy przybytek jest pożyteczny, każdy posterunek oświaty witamy z radością. Oświata sama nie da nikomu szczęścia, trzeba do tego innych jeszcze warunków, lecz szczęście bez światła, jakoś dziwnie nie licuje z naszemi pojęciami.

Tyle już razy o tym przedmiocie mówiliśmy, a zawsze się pod pióro ciśnie, zawsze woła o pamięć. Nie zawsze usiłowania dobre się wiodą, nigdy wszakże nie należy się zniechęcać, przeciwnie, nawet po nieudanych próbach winno się zabierać do pracy na nowo.

Wieleż to np. gospód chrześciańskich upadło, a jednak ciągle powstają nowe, ci co je zakładają mają nadzieję, że tym razem próba się uda.

Warszawskie gospody poupadały prawie wszystkie, a mimo tego dowiadujemy się o powziętej myśli, założenia nowej na Solcu. Fundusz na ten cel zapewniła już jedna z naszych filantropek, a pomysł jej musimy uznać za bardzo dobry, gdyż Solec jest częścią miasta zamieszkaną przez samych prawie robotników.

Od prozy życia przejdę do poezyi i poety.

Zanim mój kolega w dziale krytyki literackiej rozpisze się o świeżo wydanych poezyach Stanisława Grudzińskiego, pozwolę sobie zaczerpnąć z tej krynicy uczuć przeważnie smętnych, a jednach czystych i pięknych. Muszę także zwrócić uwagę, że książka ta wydaną została na rzecz autora, który złożony niemocą, pędzi dnie samotne na wsi pracując nie wiele, bo mu choroba sił już mało pozostawia. Dlatego rzeczą jest godziwą i obowiązkiem naszym zachęcać do kupowania tej książki, w której czytelnik znajdzie obok perlących się łez smutku, perły prawdziwe, obok uśmiechu życia, wonne kwiecie róż, a nadewszystko znajdzie wiarę silną.

Wierzę, iż wieki przeminą, jak mary,
I pokolenia całe w proch się zwieją,
Sto razy świat się przeobrazi stary,
I tyleż razy zwyczajną koleją,
Mądrość zawiedzie — śmierć hojną dłonią
Miliony mogił porozrzuca wszędzie,
I świat się znuży wieczystą pogonią,
A On wciąż będzie!

Wierzę, iż dobro, piękno, świat wspaniały,
W Nim ma odwieczny istnienia początek,
I że ludzkości wszystkie ideały,
To Jego myśli szczerozłoty wątek.
Że jest ogniskiem do którego płyną,
Duchy strudzone żywota ogrojcem,
I ludzkość cała jest jedną rodziną,
A On jej ojcem!

Wierzę i w ludzi, że na dnie ich duszy,
Jak na dnie morza czyste perły drzemią,
Że gdy jej ręka miłości poruszy,
Odblaskiem nieba zaświecą nad ziemią,
Że więcej słabych, chorych, niż zbrodniarzy,
Że choć najmocniej szaleństwo opęta,
Jeszcze gdzieś w głębi duszy się rozrzarzy
Iskierka święta.

Wierzę więc w przyszłość tej wielkiej rodziny,
Bo chociaż niebo skryje chmur nawała,
Choć grom szaleństwa rozwali w ruiny
Wszystko, co ludzkość czciła i kochała,
Znowu na niebie błyśnie jutrznia złota,
I tem piękniejsze po nocy świtanie,
Bo gdzie ludzkości krzyże i Golgota,
Tam zmartwychwstanie.

Wierzę, że idziem po postępu drodze,
Chociaż ta droga wiedzie nad otchłanią,
A czem jest krwawy cierń w pielgrzyma nodze,
Tem doświadczenia, co nam duszę ranią.
W mrokach błądzimy, czując strach i żałość,
Co krok — to rany i zawody świeże,
Lecz, że w błękitach czeka doskonołość,
Wierzę!

Czyż nie miałem słuszności, chwaląc autora takich myśli, w takie przystrojonych szaty.

Jest to cechą dzisiejszej poezyi, a w znacznej części i literatury wogóle, że więcej w nich smutku, żalu i nieutulonej jakiejś tęsknoty, aniżeli jasnych promieni i wesołych uśmiechów. Zkąd to pochodzi?

Trzymając się zasady, że literatura jest wizerunkiem życia, musielibyśmy uwierzyć, że życie istotnie więcej ma cierni aniżeli róż, więcej przynosi boleści aniżeli radości i zadowolenia.

I oto powód, dlaczego niektórzy autorowie, prozaicy czy poeci, kirem okrywają lutnię.

Ta ostateczność nigdy nas nie powinna ogarniać — bo rani ciężko, a nigdy nie leczy.

Siła — to spokój, siła — to rozwaga,
Duch jej na marne nie trwoni,
Czas jej nie niszczy! nie! ona się wzmaga,
Jak damasceńskiej hart broni.

A kiedy działa, to już nic nie może,
Zwrócić jej ciosu na stronę,
Tak jest niezłomne, jak wyroki Boże
I tajemnicze, jak one.

* * *

Nie mów, że słaby ten, co dźwiga brzemię,
Bez skarg, złorzeczeń, choć z bólem;
Atlas na barkach dźwigający ziemię,
Takiej słabości symbolem!

Nie mów, że silny, kto nić życia targa,
Wprzód nim godzina wybiła!
Znać, co cierpienie—a nie znać, co skarga
— Oto moc ducha i siła!

Mamy nadzieję, że poeta nasz nie jednym nas jeszcze obdarzy utworem, że zdrów i silny uderzy w lutnię z tą samą wiarą, lecz weselej, z większą nadzieją pomyślności życia — tu, na ziemi.

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Renard G. Czy człowiek ma wolną wolę? Przekład z francuzkiego. Nakładem redakcyi Wędrowca. Warszawa 1883 r.

Wedle zapowiedzenia redakcyi Wędrowca pokazało się pierwsze dziełko z seryi dwunastu, mających za przedmiot, rozbiór najważniejszych współczesnych zagadnień filozoficzno-naukowych. Dziełka te mają być zgodne z obecnym stanem nauki z celem dania w formie popularnej, podstawy do sądzenia o współczesnych kwestyach filozoficzno-naukowych, pouczanie dokładne o ich znaczeniu, wskazanie możliwego rozwiązania a wreszcie zobrazowanie treściwego współczesnego ruchu umysłowego.

Redakcya Wędrowca do spełnienia tego zadania przystąpiła wydając G. Renarda „Czy człowiek ma wolną wolę?" Otóż p. Renard, jako „filozof dyletant" jak to sam twierdzi (str. 160) w konkluzyi dziełka swego oświadcza stanowczo, że „człowiek nie jest wolnym, nie był nim nigdy i nigdy nim nie będzie. Jest we wszystkich czynach swoich od pierwszego do ostatniego, od najważniejszego do najmniej znaczącego, kierowany przez przyczyny wewnętrzne lub zewnętrzne, ukryte lub widoczne, otaczające go siecią nierozerwalną." (Str. 157 i 158). Ze zdaniami i przekonaniami filozofa dyletanta spierać się nie będziemy, nadmienimy tylko, że broszurka ta czytać się daje z zajęciem, napisana jest lekko i nie bez pewnej dozy humoru (wcale nie filozoficznego), tłomaczenie tylko szwankuje miejscami zacierając charakterystyczny a subtelny dowcip filozofa-dyletanta, który pracą swą przypomina nam: „Webera Der lachende Demokritos". Jeżeli i dalsze dziełka wchodzące w skład tego wydawnictwa, również tak przystępnie i zajmująco są napisane to rokować należy, iż wydawca na tym interesie nic nie straci.

Józef Strumiłło. Ogrody północne wydanie siódme przerobione i pomnożone przez Wład. Tynieckiego. Tomów III. Wilno 1880 r.

Stwierdzona użyteczność tego dzieła sprawiła, że już w siódmym ukazało się wydaniu. Trzy spore tomy ozdobione drzeworytami i planami obejmują wszystko co ogrodnik wiedzieć winien a nadto zawierają w sobie dla ludzi niefachowych nieocenione wskazówki i rady, tak że przy zakładaniu ogrodów jako też i ich prowadzeniu śmiało obejść się mogą bez ogrodnika.

Wieczory powieściowe wydane przez redakcyą „Biesiady Literackiej". Tom XI—XVI. Warszawa 1882 r.

Mamy przed sobą sześć tomów powieści i opowiadań stanowiących dalszy ciąg „Wieczorów powieściowych" wydawanych przez redakcyą „Biesiady Literackiej". Zbiór ten złożony jest z samych tłomaczeń z francuzkiego, z wyjątkiem jednej powieści pod tytułem: „Zaraza w Marsylii" przez Maryę Lafon, która naszym zdaniem, jako zbyt drastyczna, przepełniona zbrodniami i intrygami zbyt bujnej wyobraźni, budzącemi niesmak w czytelniku, nie odpowiada założeniu pisma, przy którem jako dodatek wychodziła; wszystkie inne zasługują na uwagę czytającej publiczności.

„Miłość i ambicya" powieść historyczna Schmidt-Weisenfelda, nakreślona na temacie rewolucyi francuzkiej z r. 1798, przedstawia nam w udatnej formie takie osobistości jak Robespiere, Dantona i innych. Zręcznie osnuta zakończona jest śmiercią Dantona i Desmonlins'a na szafocie i tryumfem Robespiera.

„Waterloo" powieść historyczna Erckmanna-Chatriana, jak sam tytuł wskazuje, za przedmiot ma ostatni bój krwawy, jaki Napoleon I-szy po powrocie z Elby z wrogami swemi stoczył. Powieść pomieniona, ujęta jest w wdzięczną formę opowiadania starego żołnierza Alzatczyka, który ze zwycięzką armią cesarza, świat cały niemal obleciał, po bitwie Lipskiej osiadł przy opiekunie swoim ojcu Gaulden w Falsburgu i miał zamiar ożenić się z ukochaną Kasią. Z przybyciem Napoleona I-go Józef opowiadający swe przygody, powołany został na nowo w szeregi wielkiej Armii z którą będąc po ślubie z Kasią pociągnąć musiał na pole walki. Opis tej walki olbrzyma mającego runąć pod ciosami całej Europy, jest nadzwyczaj zajmujący, a sam opis bitwy pod Waterloo zaliczony być może do najświetniejszych opisów tego rodzaju Wiktora Hugo („Nędznicy"). Powieść Erckmanna-Chatriana stanowi niejako wstęp do dwóch następnych.

„Najazd", wspomnienia i opowiadania Ludwika Halévy'ego i „W ogniu i w obozie", obrazki z życia żołnierzy, Edmunda Théry, a mających za temat krwawą wojnę z r. 1870. Oba te dziełka są wielce zajmujące, treść ich ruchliwa i żywo malująca klęski jakim Francya podległa — bohaterstwo żołnierzy a niedołęztwo wodzów i ich moralny upadek.

Najpiękniejszym i najwdzięczniejszym utworem będącym w tym zbiorze niezaprzeczenie są „Listy z mojego ogrodu", Margrabiego de Cherville. Jest to cacko napisane z francuzką elegancyą, przypominającą Micheleta „Ptak" a traktuje o kwiatach, roślinach i przyrodzie.

Tę przepiękną pracę polecamy wszystkiem naszem Czytelniczkom, tem radziej, że nietylko treść sama lecz i tłomaczenie jest udatne i zachowujące indywidualny charakter autora.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Rzadki dowód zdolności i pracy, dał młody student uniwersytetu jagiellońskiego Rudolf Trzebicki, któremu patent na doktora medycyny wręczony zostanie przez wysłańca cesarskiego (*sub auspiciis imperatoris*) wraz z pierścieniem z monogramem monarchy. Aby zasłużyć na takie odznaczenie, trzeba udowodnić; iż od rozpoczęcia nauk gimnazyalnych, kandydat był zawsze pierwszym uczniem w każdej klasie i ze wszystkich przedmiotów miał stopień celujący; następnie złożyć celująco egzamin *maturitatis* i przez czas pobytu w uniwersytecie, jakoteż przy zdawaniu egzaminów, uzyskać stopień celujący ze wszystkich bez wyjątku przedmiotów.

*** Budowa nowej świątyni katolickiej w Ekaterinenburgu na Uralu, szybko posuwa się naprzód, dzięki ofiarności parafian. Techniczny kierunek robót powierzono p. Brunonowi Korzunowi, zaś ogólną administracyę syndykom, panom Mitkiewiczowi i Werzklemiczowi. Wikaryat parafii permskiej w Ekaterinburgu, objął już świeżo zatwierdzony przez władzę, ks. Misiński, niegdyś bernadyn z Piotrkowa.

*** Dzienniki włoskie donoszą, iż w Rzymie robią przygotowania do uroczystego obchodu w dniu 15 maja r. b. stuletniego jubileuszu gregoriańskiej reformy kalendarza. Program nie jest jeszcze stanowczo ułożony, lecz w każdym razie wygłoszone będą dwa kazania w bazylice di san Lorenzo, w Damaso: jedno historyczno-apologetyczne przez kardynała Alimonda, drugie naukowe przez uczonego astronoma ks. Ferrari, przyjaciela sławnego ojca Secchi. W program obchodu wchodzą także deklamacye utworów łacińskich i wykonanie oratoryum Haydna „Stworzenie świata".

*** Polacy w Ameryce mają już obecnie swoje dzienniki, kościoły, stowarzyszenia religijne, dobroczynne, literackie, muzyczne, własne czytelnie, teatra, urządzają bale na których naturalnie mazur pierwszą odrywa rolę. Oprócz dwóch gazet w Chigago, w Milwankee wychodzi polskie czasopismo „Zgoda", a w Detroit, dzięki redaktorowi Zielińskiemu, „Chaf" służy interesom polskim. Niedawno odbyło się w Milwankee, poświęcenie nowego kościoła polskiego, pod wezwaniem św. Jacka. Dwa inne, św. Stanisława Kostki i św. Jadwigi istniejące dawniej, już obecnie nie wystarczały. Podczas poświęcenia kościoła, dokonanego przez arcybiskupa Heiss, przyjmowały w nim udział polskie stowarzyszenia: św Kazimierza, Stanisława Kostki, biskupa Józefata, Kraszewskiego i inne. Przemawiano po polsku, po angielsku i po francuzku. Immigracya, szczególniej włościan, zmniejszać się zaczyna, i wielu obałamuconych biedaków wraca do kraju.

*** Królowa Wiktorya ustanowiła nowy order zwany „królewskim czerwonym krzyżem" (*Royal Red Cross*) i przeznaczony wyłącznie dla kobiet, które położą szczególniejsze zasługi w pielęgnowaniu rannych. Krzyż ten zdobi czerwona emalja ze złotemi brzegami, na każdem z ramion jest napis: „wiara, nadzieja i miłość" a w środku wizerunek królowej. Order ten będzie udzielany i poddankom obcych krajów.

*** Przez lat 33 z kolei, na jednym z cmentarzy wiedeńskich, na którym pochowano ofiary z 13 marca 1848 r. widywano siwowłosego starca rok rocznie składającego bukiet z fiołków u stóp pomnika rewolucyonistów i z głębokiem wzruszeniem odmawiającego na klęczkach, krótką modlitwę za poległych.

Starzec ów nie był ani demokratą, ani socyalistą, lecz przeciwnie gorącym stronnikiem rządu i gorliwym katolikiem — cóż więc skłaniało go do corocznej ofiary na grób i modlitwy za dusze rewolucyonistów? Oto podczas powstania w 1848 roku, pewien mocno skompromitowany student uniwersytetu, ukrył się na jednem z przedmieść wiedeńskich, w domu rękawicznika. Śliczna 16-letnia córka tegoż, czuła żywe współczucie dla owego „zbrodnia stanu", które następnie, gdy zagrażała mu utrata życia, zamieniło się w gorącą miłość. Szukającego schronienia ukryła w własnym pokoju, dópokąd tak wielkie zagrażać mu będzie niebezpieczeństwo, z myślą, aby następnie obmyśleć sposobność tajemnego opuszczenia Wiednia.

Rękawicznik kochał namiętnie córkę, zarządzającą całym jego domem, gdyż matka umarła wydając ją na świat, oburzył się, gdy zwierzyła mu się, iż z narażeniem siebie ukryła rewolucyonistę, i na domiar oddała mu serce, w uniesieniu i gniewie, nie zastanawiając się nad następstwami, po-

biegł do komenderującego jenerała Windischgrätz'a i ukrywającego się w jego domu młodzieńca, wydał w ręce władzy. Wiedeń był wtedy w stanie oblężenia, więc zdradzony student przypłacił życiem swoją młodzieńczą nierozwagę.

Jakże to straszna zaszła zmiana w młodziutkiej córce rękawicznika od chwili, gdy rozlegający się huk wystrzałów w Brigitenau, zwiastował śmierć skazanych na rozstrzelanie powstańców z 1848 r. Dawniej tak żywa, śpiewająca i wesoła, teraz przesuwała się po domu smutna i milcząca; nigdy uśmiech najlżejszy nie pojawił się na jej ustach, a chociaż okazywała ojcu należne uszanowanie, tenże czuł jednak, że stracił cześć i miłość jedynej córki. Wkrótce zapadła na zdrowiu, choroba robiła gwałtowne postępy, śmierć zbliżała się z każdą chwilą. Oczekiwała jej spokojna. Gdy wybiła ostatnia godzina i ojciec ukląknowszy przy jej łożu, płacząc błagał o przebaczenie, podała mu rękę ze słodkim uśmiechem, prosząc aby w zamian, w rocznicę śmierci biednych skazańców składał na ich grobie bukiet z fiołków, jej ulubionych kwiatów.

Starzec spełniał do śmierci życzenie umierającej córki — w tym roku 14 marca nie było bukietu fiołków na grobie poległych — gdyż ten co przez 33 lat spełniał tę ciężką pokutę, parę miesięcy pierwej spoczął nareszcie snem wiecznym.

*** Nie dawno wyszła w Ameryce książka p. t. *Life of Buchanan* są to pamiętniki Jakóba Buchanan, ostatniego prezydenta demokratycznego Stanów Zjednoczonych. Był on wielkim przyjacielem kraju naszego i czynnie opiekował się założeniem pierwszych osad polskich w Illinois i Texas. Odnoszące się do tego ustępy pamiętnika są dla nas ciekawe i zajmujące. Redakcyą dzieła zajął się p. Jerzy Curtis.

*** Nie ma zapewne drugiego dziennika mogącego się pochlubić tak wielowiekowem istnieniem jak chińska urzędowa gazeta *Sin-Pao* (Nowe wiadomości), założona przez cesarza chińskiego Hung-Wu w r. 1366 i po dziś dzień wychodząca. Początek gazet w Europie można odnieść także do bardzo dawnych czasów. Jeszcze na jakie sto lat przed Narodzeniem Chrystusa, od czasu do czasu wydawano w Rzymie pisemko donoszące zazwyczaj o ważnych zaszłych w państwie rzymskiem wypadkach. Ogłoszenia te zwane *acta populi et urbis*, czytano ludowi na publicznych placach lub też przylepiano na postumentach pomników. Niezadługo przybrały charakter urzędowy i nazwę *acta senatus*, a z nastaniem ery chrześciańskiej rząd wydawał je codziennie p. t. *acta diurna*, które to pisemka zbliżone już były do naszych gazet, ale niedługiem cieszyły się życiem. Dopiero w XV i XVI wieku, już po wynalezieniu druku, znowu pojawiły się we Francyi, a w Wenecyi, podczas wojny z Turcyą w r. 1563, rada dziesięciu wydawała pisemko dla ludu, zawiadamiające o wypadkach z pola walki. Pisemko to czytywano ludowi na ulicach i placach, a kto chciał mógł je kupić za małą monetę zwaną „gazzeta" (t. j. sroczka), i od nazwy tej monety owo pisemko przezwano „gazetą" i odtąd wszelkim wydawnictwom podającym nowiny i wiadomości, nadano nazwę gazet. Jan Carolus pierwszy zaczął wydawać w Strasburgu w r. 1609 pierwszy stały dziennik p. t. „Wiadomości o wszelkich wypadkach i godnych uwagi historyach, jakie w tym 1609 r. przytrafić się mogą w Górnych i Dolnych Niemczech, również we Francyi, Włoszech, Szkocyi i Anglii, Hiszpanii, Węgrzech, w Polsce, Siedmiogrodzie, Wołoszczyźnie, Mołdawii, Turcyi etc. Wszystko jaknajdokładniej zaraz po otrzymaniu, drukiem ogłaszane będzie." Dziennik ten zachowany jest w bibliotece hejdelberskiej; wychodził przez lat 70, to jest do 1679 r. Drugą z kolei gazetę, regularnie raz w tydzień wychodzącą, wydawał i redagował w Paryżu w 1628 r. Teofrast Rensdeau p. t. „Nouvelles ordinaires des diverses endroits", która cieszyła się ogromnem powodzeniem; trzecią zaś „Gazette de France", wychodząca w Paryżu od 1631 r. Zachęceni ich powodzeniem, pojawiali się następnie coraz nowi wydawcy i zaczęły powstawać coraz inne i coraz liczniejsze pisma peryodyczne.

*** „Gazette de Hollande" zapewnia, że Wystawa amsterdamska będzie bardzo ciekawą i zajmującą. Między innemi osobliwościami można będzie widzieć wioskę jawańską, zamieszkałą przez mężczyzn, kobiety i dzieci, zajętych zwykłemi codziennemi robotami, jak gdy pozostają w Jawie, tej perle Indyi wschodnich. Jawańczycy pomieszczeni są tymczasowo w domu schronienia, zwanym Aremenhuis. Są nadzwyczaj sprytni i pojętni, bardzo spokojni i weseli. Dwie przybyłe z niemi kobiety są bardzo pojętne, mają wielką chęć i zdolność do nauki. Zobaczywszy dzieci odźwiernego uczące się czytać, chciały także się uczyć i prosiły o książki. Jedna patrząc tylko na robiącą pończochę żonę odźwiernego, sama odrazu nauczyła się i towarzyszkę swoją prędko bardzo nauczyła robienia pończoch. Obyczaje Jawańczyków są jeszcze nader pierwotne i oryginalne. Pewnego dnia praczki odniosły im upraną bieliznę, żądając brudnej; w mgnieniu oka rozebrali się, zdjęli bieliznę i zostawszy w stroju Adama, podali ją z uprzejmym uśmiechem przerażonym Holenderkom, które uciekły coprędzej, przysięgając sobie że już odtąd nigdy wyspiarzom jawańskim nie będą same odnosić bielizny.

*** Dzienniki amerykańskie zapewniają, że próby z zaprowadzeniem telefonu pomiędzy Nowym Yorkiem a Chicago, na odległości wynoszącej około tysiąca mil *angielskich*, udały się nader pomyślnie i telefon funkcyonuje wybornie.

NOWE WYDAWNICTWA.

Tanhauzer i turniej śpiewaków w Wartburgu, opera w trzech aktach. Słowa i muzyka Ryszarda Wagnera, z niemieckiego przełożona pod muzykę bardzo starannie przez Maksymiliana Radziszewskiego.

Powieści historyczne J. I Kraszewskiego wyszły następujące:

Semko, czasy bezkrólewia po Ludwiku. **Jagiełło i Jadwiga.** Tomów 3.

Matka królów, czasy Jagiełłowe. Tomów 2.

Strzemieńczyk, czasy Władysława Warneńczyka. Tomów 2.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani A. S. w Hr. Fason bibułkowy na suknią kosztuje od 10 do 15 złotych. Wełniane suknie teraz ubierają przeważnie adamaszkiem lub aksamitem, atlas jest mniej modny a materya zupełnie wyszła z użycia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Апрѣля 1883 г.

Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

NIEBEZPIECZNE MAŁŻEŃSTWA.

I.

TRZY ŻONY HENRYKA SMIRT.

przez

ANAIS SÉGALAS.

Przekład **J. B.**

(Dokończenie.)

— No, rzeczywiście byłem tak nieszczęśliwy iż utraciłem pierwszą moją żonę, odpowiedział Henryk.

— Ach! zawołał ucieszony wicehrabia, więc...

— A nadto, przerwał Henryk, dotknął mnie bolesny cios — straciłem i drugą.

— A co! zawołał wesoło wicehrabia, widzisz więc że miałem słuszność.

— Bynajmniej, odparł Henryk, ponieważ trzecia moja żona jeszcze żyje.

— Czy podobna! zawołał nierozważnie wicehrabia, przecież upewniano mnie że umarła.

— Co! krzyknął Henryk i oczy jego zaiskrzyły się gniewem, a zatapiając w wicehrabiego ponure, groźne i zarazem badawcze spojrzenie, dodał: Więc skoro pan wiesz, czemuż mi się wypytujesz?.. kto poważa się rozpowiadać panu moje domowe sprawy?.. A więc już i tu mną się zajmują... zbytek troskliwości... ja o nikogo się nie troszczę... Nie chcę dłużej zatrzymywać pana, proszę idź w swoją stronę... ja chcę zwiedzić okolice... Mam zaszczyt go pożegnać.

I oddawszy lodowaty ukłon, odwrócił się od wicehrabiego.

Był już dość daleko, a wicehrabia nie ruszając się stał nieruchomy, osłupiały, jakby przykuty do miejsca, i patrzył za nim szeroko otworzywszy oczy.

— Jakoś nie koniecznie miły i grzeczny, ten mój przyjaciel.. i nie skłonny do zwierzeń... szkoda!... A! z resztą, pal go licho! wrócę do margrabiny, ona która wie wszystko co jest i nie jest, musi znać tę zaciekawiającą historyę... a wypowie co tylko będzie wiedzieć... Doprawdy jest zachwycająca ze swemi aksamitnemi oczami i ostrym jakby z żywego srebra języczkiem .. Trzeba jej oddać wizytę.

I zaraz pobiegł do margrabiny; był ciekawym, już nawet nie jak córka Ewy, ale jak reporter gazeciarski — a wszak to rzecz wiadoma powszechnie, że najciekawsza z kobiet, nie dorówna pod tym względem reporterom.

Henryk Smirt powiedział prawdę. Amedina która skutkiem uczynionego w albumie odkrycia, jak martwa padła na ziemię, została przecież docucona z tego śmiertelnego niemal zemdlenia. Odzyskała przytomność, ale po tej strasznej katastrofie, tlał w niej zaledwie cień życia.

Jak tylko wątłe jej siły dozwoliły, ojciec niezwłocznie zabrał ją do siebie, nie chcąc zostawić ani chwili w tym zgubnym domu męża, którego progów bodaj nigdy była nie przestąpiła!

Zbolały i oburzony do najwyższego stopnia, pan d'Armangis byłby pragnął własnemi rękami zdusić niegodnego zięcia, gdyby prawo nie sprzeciwiało się temu; nie mogąc mieć tego zadośćuczynienia, musiał poprzestać na żądaniu separacyi. Henryk Smirt który czas jakiś był dependentem u adwokata i znał kodex, przypomniał sobie artykuł 299, opiewający: że małżonek z którego winy rozwód nastąpił, utraca wszelkie prawa zapewnione mu umową przedślubną, oraz że prawnicy dowodzili iż artykuł ten winien być stosowany i w razie separacyi prawnej. Nie chcąc narażać się na tak bolesną dla niego ewentualność, zgodził się na dobrowolną separacyę, zapewniającą najzupełniej jego prawa. To było także powodem iż zdobył się na wielkie poświęcenie, .mocą którego zezwolił aby Amedina pobierała dochody od swego posagu, jak tego bezwarunkowo domagał się pan d'Armangis. Pocieszał się tem że owe 400,000 fr. staną się jego własnością po śmierci Amediny, która pewnie bardzo niedługo nastapi.

Od czasu separacyi nie miał żadnej wiadomości od Amediny, ale nie odbierając zawiadomienia o śmierci, wiedział że jeszcze żyje. Dziwiło go niewymownie że życie biednej suchotnicy przeciąga się pomimo powtórnego zapalenia płuc, nie wątpił jednak że skończy się wraz z opadnieniem liści z drzew.

Oczekiwał śmierci Amediny, nie w celu szukania czwartej żony, ale dla wycofania się z *małżeńskiego interesu*. Handlarz ten nowego rodzaju, który nie chcąc dorabiać się majątku prowadzeniem jakiejś fabryki czy sklepu, chciał dojść do tego przez małżeństwa ze skazanemi na śmierć, cieszył się nadzieją iż nareszcie będzie mógł zaprzestać tych spekulacyj, przyszedłszy do posiadania przeszło milionowego majątku.

Opuściwszy wicehrabiego, Henryk wynajął powóz i kazał się zawieźć do Saint-Jouin, będącego jak wiadomo celem wycieczek wszystkich turystów bawiących w Etretat. Stanął w *Hotelu Paryzkim* utrzymywanym przez słynną pannę Ernestynę, i zaledwie spojrzawszy na jej prześliczne czarne oczy, wyszedł z hotelu i kazawszy woźnicy czekać na siebie, ropoczął zamierzoną wycieczkę.

Zamyślony, szedł przepysznem urwistem wybrzeżem, pokrytem kobiercem tej ślicznej normandzkiej zieleni, olśniewającej oczy odcieniem przewyższającym zieloność najpiękniejszych szmaragdów. Ale Henryk Smirt bynajmniej nie był skłonnym do uniesień, to też zamiast podziwiać poetyczność tej wspaniałej przyrody, obliczał swoje zyski i dochody.

— Gdy już, myślał sobie, żona moja umrze, co nastąpi lada dzień, przybędzie mi 400,000 fr. majątku, będę więc miał 55,000 fr. dochodu. Dom mój urządzę daleko okazalej, sprawię wspanialsze ekwipaże; kupię sobie na lato willę z pięknym pałacykiem; może nawet wyszukam jakiejś towarzyszki na sezon zimowy, ale z małżeństwem stanowczy rozbrat... Pragnę nareszcie użyć wesołego kawalerskiego życia, życia niezależnego i urozmaicanego pobieżnemi miłostkami, użyć bogactwa i swobody, wolny od kajdan małżeńskich i aktów municypalnych.

Tak rozmyślając, Henryk zstępował po urwistych nadbrzeżnych skałach, co wymagało pewnej śmiałości. Szedł śmiało fantastyczną w skale wykutą drogą, tworzącą rodzaj schodów, których poręcze stanowiły skały. Drożyna ta stawała się coraz węższą: za każdym krokiem zdawało mu się że zapuszcza się w otchłań, że nagromadzone nad głową jego skały, oberwą się lada chwila i zgniotą go swym ciężarem. Pomimo to nie zatrzymywał się, schodził coraz niżej, póki nie stanął u podnoża skał. Tu mimo całej swej śmiałości i obojętności, stanął zdumiony widokiem jaki się oczom jego przedstawił, i zaczął wpatrywać się weń bacznie, z pewnym przestrachem i podziwieniem zarazem.

Była to otchłań, obraz strasznego spustoszenia. Do koła widział tylko olbrzymie odłamy skał, sterczące jedne nad drugiemi w wspaniałym i groźnym zarazem bezładzie, jaki przyroda umie wytwarzać jeźli pragnie nas przerazić. Zdawać się mogło że góra jakaś zmieniała miejsce pobytu, i znużona przeprowadzką, nie pomyślała jeszcze o uporządkowaniu i ustawieniu swych ze skał utworzonych mebli.

Przed nim roztaczał się niezmierzony obszar morza; po nad nim zamet bez wyjścia; ani śladu drogi którą przybył widać nie było; do koła chaos i spustoszenie.

Stojącemu u stóp tego strasznego urwiska, wydaje się iż zabłąkał się w jakąś niezmierzoną otchłań, z ktorej nigdy już nie wróci do świata żyjących, i zdjęty niewysłowionym przerażeniem, ogląda się szukając bramy piekieł.

A jednak wszystko to nie zraża turystów; odważają się na tę trudną wycieczkę, często dlatego jedynie aby módz powiedzieć: „I ja także byłem tam i widziałem."

Rozpatrując się do koła, Henryk przekonał się niebawem, że miejscowość w której się znajdował nie była tak pustą i osamotnioną jak mu się z początku zdawało. W pewnej odległości dwie osób rozglądało się po tej dzikiej okolicy. Widział że był to jakiś mężczyzna w towarzystwie kobiety, ale z tak daleka nie mógł dojrzeć ich twarzy.

Mężczyzna, znużony widać, usiadł na odłamie skały, kobieta zaś, żwawa i zaciekawiona odbiegła od niego, przypatrując się z zajęciem skałom najdziwaczniejszych kształtów. Zdawała się bardzo żywa, wesoła, swobodna, i lekko jak dziecię przeskakiwała z jednego na drugi odłam skały.

Przebiegła prędko koło Henryka nie spojrzawszy nawet na niego; zapewnie myślała sobie że turystów codzienie widywać może, a do skał w Saint Jouint nie prędko, a może i wcale nie wróci.

Jakkolwiek zazwyczaj obojętny i nie ciekawy, Henryk tym razem wyjątkowo zapragnął zobaczyć jej twarzyczkę, ale była nader starannie otulona i zasłonięta. Postać jej nikła w fałdach długiego podróżnego okrycia, a chcąc się zabezpieczyć od ostrego nadbrzeżnego wiatru, oprócz zapuszczenia woalki, zarzuciła na kapelusz wielki kapturek tak twarz zasłaniający, że dojrzeć jej prawie niepodobna było.

Biegała to w tę to w ową stronę, aż nagle przyszła jej ochota wejść na wysoki odłam skały, z której powierzchni rozległy roztaczał się widok. Już wejście w górę było trudne, ale zejście prawie niemożebne dla kobiety. Nie ulękła się jednak, i zaczęła wstępować ostrożnie.

Skała zasłaniała jej Henryka, który nie spuszczał z niej oczu. Gdy wysunęła małą nóżkę obutą w elegancki bucik, pomyślał sobie:

— Śliczną ma nóżkę.

W tem nagle spostrzegł, że się zachwiała... noga jej się pośliznęła. Jednym skokiem był przy niej i ujął w objęcia, właśnie w chwili gdy miała upaść i może zranić się niebezpiecznie. Towarzysz jej siedział daleko i zapatrzony w morze nic tego nie widział.

Skutkiem nagłego jej przechylenia się i pochwycenia w objęcia Henryka, okrycie nieznajomej rozsunęło się, kapturek spadł z głowy, wiatr uniósł woalkę, śliczny motylek wyszedł ze swoich osłonek. Chcąc podziękować swemu wybawcy, spojrzała na niego, i w tejże chwili głośny krzyk wydarł się z piersi obojga.

— Moja żona! krzyknął Henryk.

— On!... On!... krzyknęła Amedina!

Henryk wpatrywał się w nią z osłupieniem, zarazem przerażony i zdumiony. Była to jego żona ale zupełnie inna jak dawniej — nastąpiła niepojęta zmiana.

Wątła i wychudła istota, którą po raz ostatni widział tak ciężko chorą i z każdym dniem bliższą śmierci; ta pierś z której lada chwila ostatnie tchnienie ulecieć miało, której śmierć miała mu nieomylnie zapewnić posiadanie tak pięknego majątku; ta umierająca kobieta zmartwychwstała w pełni sił i odmieniła się do niepoznania.

Amedina była teraz świeża jak róża, cała postać tchnęła zdrowiem i życiem. Zaokrągliły się wychudłe jej i zapadłe policzki; blade lica pokrywał świeży rumieniec; nie był to już, jak dawniej, jakby tylko cień młodej kobiety, jakby róża której listki lada chwila opaść miały, ale róża świeża, w całej pełni swego rozwoju, mająca żyć nie życiem tego nietrwałego kwiatu, ale życiem młodej i zdrowej kobiety.

Cała jej postać, która dawniej zdawała się pochylać z powodu braku sił, teraz wyprostowała się, utyła, figurka była kształtną i szczupłą, ale bynajmniej nie wątłą. Słowem, zaszła w niej niepojęta zmiana; jak owe domy na których przybijają blaszki z napisem: „Ubezpieczony od ognia“ tak patrząc na jej czerstwą rumianą twarzyczkę, wyraźnie zdawało się czytać: „Ubezpieczona od choroby“.

Patrząc na nią z osłupieniem, Henryk zadawał sobie pytanie czy to nie senne marzenie.

Gdy Amedina go poznała, oczy jej zabłysły oburzeniem; po chwili na ustach pojawił się uśmiech ironiczny, zwycięzki i wyzywający.

— Widzisz pan, rzekła, że jestem zupełnie zdrowa i silna, i cieszę się bardzo że mam sposobność zawiadomić pana o tem.

— Ach! pani... wyjąkał; jestem szczęśliwy...

— Według pana, skazana byłam na śmierć niechybną, skutkiem nadzwyczaj rozwiniętej choroby piersiowej; radzę mu rozpocząć na nowo studya medyczne, gdyż widocznie doktorskie wiadomości pana są nader niedostateczne... Suchoty moje, dodała z gniewnem oburzeniem, istniały tylko w ohydnym albumie pana.

— Skończ pani, przez litość! zawołał, nie wznawiajmy tej opłakanej historyi.

— O! bądźże pan spokojny, zawołała; zapewnie przez zbytnią troskliwość, lękasz się aby nie zaszkodziło mi wzruszenie spowodowane tem wspomnieniem... Kto wie? myśli pan może iż sam jego widok przyprawi mnie o nieuleczalną chorobę... o! nie obawiaj się! jestem teraz zdrowa i silna, zmieniona najzupełniej tak pod względem moralnym jak fizycznym. Przestałam być naiwnem dziewczęciem, kochającem pana szalenie. Tak okropne katastrofy wywołują w nas straszne przesilenia, wyrabiają doświadczenie i znajomość życia, i olbrzymim krokiem posuwają dojrzałość duszy. Dziewczę stało się kobietą, zdolną poznać pana i ocenić... Uleczyło mnie oburzenie... pogarda zabiła miłość.

— Pani!... wyjąkał, nie mogę znieść dłużej...

Jednak zamiast się oddalić, stał jakby przykuty do miejsca, wpatrując się w tę ożywioną postać, w tę zmartwychwstałą tchnącą życiem i zdrowiem. I on, człowiek tak zazwyczaj zimny i nieprzenikniony, był teraz tak przybity i osłupiały, iż nie panując nad sobą dozwolił czytać miotające nim wrażenia, w swej zmienionej twarzy i błędnem spojrzeniu.

— A! nie możesz pan ochłonąć z zadziwienia, zawołała Amedina. Ale bo też spotkało pana straszne rozczarowanie... nie możesz pan pojąć jakim cudem mogłam się tak odmienić... otóż raczę pana objaśnić. Gdy poznałam niecne wyrachowanie pana, boleść moja była tak straszną, iż o mało nie umarłam... potem gniew i oburzenie miotały moją duszą, i powiedziałam sobie: muszę się zemścić!... Wtedy ojciec mój powiedział: „Staraj się odzyskać zdrowie, dziecię moje, a będzie to największa zemsta!... Od tej chwili nie zaniedbałam nic co tylko mogło przyczynić się do mego uleczenia; nie zbrakło mi cierpliwości ani wytrwałości; słuchałam ślepo przepisów doktora, poddając się najzupełniej troskliwej opiece najukochańszego ojca i mojej dobrej Marynki.

„Moje wyleczenie się, najsroższą będzie dla niego karą i zemstą! powtarzałam sobie, muszę więc tego dokazać; odzyskam siły, utyję... i żyć będę do późnej starości, aby udaremnić niegodziwą jego spekulacyę... I postanowienie to przeprowadzałam z tak żelazną wolą, iż jak pan widzisz jestem zdrowa i silna... i stu lat dożyć mogę... Wszak znane panu przysłowie: „Bóg chce, czego chce kobieta“.

I pożegnawszy go szyderskim ukłonem, odeszła tryumfująca, dumna swoją zemstą, i prędko pobiegła do ojca.

Zobaczywszy powracającą, pan d'Armangis wstał i podszedłszy naprzeciw niej, zapytał:

— Z kim rozmawiałaś? Spostrzegłszy przed chwilą że mówisz z jakimś panem, miałem właśnie zbliżyć się do was: pewnie to kto z naszych przyjaciół?

— Nie, ojcze drogi, pan ten nie jest naszym przyjacielem... to mój mąż!

— On! krzyknął unosząc się pan d'Armangis; i dla czego nie zawołałaś mnie, czemu pozbawiłaś mnie przyjemności, abym raz jeszcze cisnął mu w oczy moją pogardę, nazwał nędznikiem i niegodziwcem!... Gdzież on jest? nie widzę go nigdzie... Jakże to było?... coś mu powiedziała?...

— Opowiem ci wszystko, odrzekła z zaiskrzonym wzrokiem; zemściłam się nakoniec!

— Ach! do śmierci żałować nie przestanę, że konwenanse światowe nie dozwoliły mi wyzwać go na pojedynek, zawołał pan d'Armangis. Może szczęście byłoby mi sprzyjało, może byłbym zabił tego nikczemnika i uwolnił cię od niego... Na nieszczęście nie można pojedynkować się z zięciem!...

Henryk powrócił do Etretat przygnębiony doznanym zawodem. Wprawdzie pocieszał się tem że siła jego budowa i żelazne zdrowie, przewyższa nieskończenie siły i zdrowie Ameginy, tak więc prędzej czy później odziedziczy jej majątek, ale nie mógł nie uznać że prawdopodobnie na spadek ten przyjdzie mu zapewnie czekać długo, może do późnej starości.

Powrócił do hotelu i cały ten wieczór był niewymownie niespokojny i wzburzony. Wielkiemi krokami chodził po pokoju; myślał o swoich dwóch żonach zmarłych i o trzeciej żyjącej; o swoim sprytnym sposobie przyjścia do majątku, który udawszy mu się tak wybornie po dwa kroć, za trzecim razem groził niepowodzeniem.

XII.

Dwie zmarłe żony.

Henryk Smirt rzucił się na łóżko z głową nabitą gorączkowemi myślami. Pragnął zasnąć, ale uprzykrzona myśl paliła mózg jego, nie dając się odegnać.

„Jakto, więc właśnie w chwili gdy miałem posiąść trzy posagi i być uwolnionym od ostatniej żony, upragnione to szczęście odłożone zostaje do nieograniczonego czasu!..

Do koła nie było nic coby mogło rozerwać go i rozpędzić smutne rozmyślania. Pozostawał w posępnym, pospolitym, nic nie mówiącym pokoju hotelowym, którego jedyną zaletę stanowił widok na morskie wybrzeże. Nocna lampka bladawe rzucała światło. Morze tej nocy silnie wzburzone, ryczało w oddali, tocząc spienione fale. Wśród ciszy nocnej rozlegał się tylko przerażający szum jego, który zdawał się jednoczyć w sobie bolesne krzyki konających rozbitków. Był to odgłos żałośny, wspaniały i groźny zarazem: jakby ambasador przemawiający w imieniu swego monarchy, tak morze zdawało się upominać ludzi, wyrzucać im ich przestępstwa i zbrodnie.

Henryk zasnął wśród tego przerażającego odgłosu, oddziaływającego silnie na jego sen niespokojny i przerywany.

W tem nagle zdało mu się że otwierają się drzwi jego pokoju, i ukazała się na progu postać ludzka, ale jakaś nieokreślona i niepochwycalna... powoli jednak zaczęła się uwydatniać — i poznał w niej pierwszą swoją żonę. Miała na sobie czarną aksamitną suknię, zupełnie taką jak na portrecie zawieszonym w jego gabinecie. Możnaby myśléć że wyszła z ram swoich.

Postąpiła, czyli raczej przesunęła się przez pokój, długi wlokący się tren jej sukni grobowy jakiś szmer wydawał; spojrzenie pałało gniewem i oburzeniem, oczy ciskały płomienie.

Zbliżywszy się do łóżka Henryka, zawołała groźnie:

— Bądź przeklęty! trzy kroć przeklęty! ty co zaślubiłeś mnie dlatego jedynie, że dotknięta byłam nieuleczalną chorobą sercową... Dwie rzeczy tak święte jak miłość i małżeństwo, stały się dla ciebie przedmiotem niecnej spekulacyi... Bóg cię ukarze, twoja trzecia żona pomści się za mnie!..

Henryk słuchał tych słów z niewysłowionem przerażeniem, podwojonem jeszcze pojawieniem się drugiego widma. Był to duch drugiej żony, ukazujący się obok pierwszej.

I ta ubrana była tak samo jak na portrecie, tylko powłóczysta jej biała muślinowa suknia tworzyła rodzaj całunu. Wlepiła w Henryka straszne, lodowate spojrzenie.

— Biada ci! biada! mówiła. Podobała ci się we mnie moja chorobliwa bladość, słabe zdrowie, postawa wątła, pochylona jakby lada chwila złamać się miała, zamglone spojrzenie, zdradzające że oczy moje lada chwila zamkną się na wieki.. Biada ci! oblubieńcze umierających, kochanku śmierci!.. Sprawiedliwość będzie wywierzona, nie minie cię kara... pomści mnie trzecia twoja żona!..

I obie przysunęły się tuż do jego łóżka i wyciągnąwszy ręce, tak że czuł na czole lodowate wiejące od nich zimno, wołały razem:

— Trzecia twoja żona pomści nas obie!

Henryk chciał wydać okrzyk trwogi i przerażenia, ale nie mógł wydobyć głosu, zamarł mu w gardle. Wysilenie to przebudziło go. Powiódł do koła przerażonym wzrokiem, nie zupełnie obudzony, na wpół przytomny. Ochłonąwszy przekonał się że nie ma nikogo; odzyskując więc poczucie rzeczywistości, rzekł oddychając lżej:

— A! co za straszny sen!..

Czuł jednak jakiś ciężar przygniatający mu piersi; sen ten wstrzasnął całą jego istotą; głowa mu płonęła.

— Ach! zawołał, tak duszno... tak gorąco... odetchnąć nie mogę!

Wstawszy z łóżka, pobiegł do okna i roztworzył na rozcież; poczem ufny w swoje jak mawiał żelazne zdrowie, pałającą głowę i potem oblane czoło wystawił na zimny wiatr wiejący od morza. Z początku uczuł się orzeźwionym i miłego doznawał wrażenia, ale niebawem zrobiło mu się zimno, dreszcz przebiegł go od stóp do głowy.

Nie zważając na to, zostawił okno otwarte i zaczął chodzić po pokoju myśląc o tym strasznym śnie; trwało to dość długo aż nareszcie zimno przejęło go do kości, boleśnie dając się uczuć. Nogi mu zesztywniały; dreszcze wstrząsały nim jak w febrze. Zamknął okno i położył się.

— Co mi się stało? myślał sobie; nigdy nie doświadczałem nic podobnego.

Zimne dreszcze wzmagały się co chwila, i niebawem stały się tak gwałtowne iż rzucały nim na łóżku; zęby dzwoniły, konwulsyjne wstrząśnienia miotały ciałem, aż nareszcie nastąpiło rozpalenie i gwałtowna gorączka. Przed chwilą zdawało mu się że leży zanurzony w lodzie, teraz czuł jakby ogarniające go płomienie gwałtownego ognia.

Nazajutrz rano, gwałtowny nieustający kaszel szarpał mu piersi; czuł silny ból w plecach i w boku, i pomimo swoich nader niedostatecznych wiadomości lekarskich, poznał że dostał zapalenia płuc.

Kazał przyzwać doktora, ale ratunek był spóźniony; kuracya szła niepomyślnie; w przeciągu paru dni choroba rozwinęła się gwałtownie. Uczuł z przerażeniem że jest blizkim śmierci.

— Byćże to może! mówił sobie z głębokiem upokorzeniem, abym ja zdrów i silny jak dąb, miał umierać marnie na nędzne zapalenie płuc, któremu słaba i wątła Amedina oprzéć się zdołała!.. Ach! ale ona nie jest już teraz wątłą i osłabioną... utyła, jest zdrowa, silna, rumiana — kiedy ja tak okropnie jestem zmieniony, sina bladość twarz moją pokrywa, rysy się wyciągnęły...

Widząc że żadnej już nie ma nadziei, doktór ostrożnie nadmienił Henrykowi, czyby, przez prostą przezorność, nie kazał przyzwać notaryusza.

— Przyzwać notaryusza!.. pisać testament!.. wykrzyknął z wściekłością, na cóż się to przyda!.. nie mogę, nie mam prawa pisać testamentu!

A w duszy powtarzał sobie:

— Ha! nie wolno mi nawet przekazać rodzinie mego majątku... Owo tak korzystne dla mnie zastrzeżenie jakie umiałem zamieszczać w umowach przedślubnych, zapewniające cały wspólny majątek na przeżycie, obraca się teraz przeciwko mnie... trzecia moja żona zabierze wszystko, nietylko mój osobisty majątek, ale i pozostały po dwóch pierwszych żonach moich.

Już sama ta myśl tak gwałtownie nim wstrząsnęła iż przyśpieszyła koniec. Śmierć, budząca zawsze silne wrażenie, nawet wtedy gdy ma położyć kres życiu niegodziwca, szybkim krokiem się zbliżała; groźne jej symptomata objawiały się coraz widoczniej, i wkrótce ostatnie wydał tchnienie. Bóg karzący przestępców, dotknął swym palcem silnego jak dąb Henryka Smirt i padł jakby pod odłamem skały.

Nie powiemy że połączył się z dwiema zmarłemi żonami swemi, bo sądzimy że one poszły do nieba, jego zaś dusza chyba w inną zwróciła się drogę.

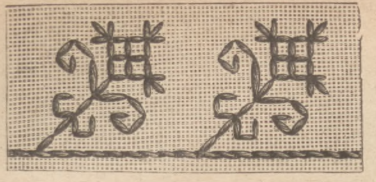
Dobra Amedina przywdziała żałobę po swym potwornym mężu, i gdyby była wiedziała o jego chorobie, może posunęłaby swą wspaniałomyślność aż do otoczenia go troskliwą opieką. Według prawa weszła w posiadanie całego majątku Henryka Smirt, z takim nagromadzonego trudem, a jako młoda, piękna i bogata wdowa, stała się przedmiotem licznych hołdów; ale nauczona bolesnem doświadczeniem, odmawiała bez litości wszystkim kunkurentom. Postanowiła nie opuszczać ubóstwiającego ją ojca, który nie posiadał się z radości że nareszcie skarb swój odzyskał. Samo wspomnienie o małżeństwie przejmowało ją dreszczem; owdowiałej po Szatanie nie uśmiechała się myśl powtórnego zamążpójścia, z obawy żeby czasem za drugiego męża nie obrała Belzebuba.

Margrabina i wicehrabia, wielomowni jak sroki i papugi, i nadzwczaj lubiący rozpowiadać wszelkie zasłyszane wiadomości, rozgłosili historyę Henryka Smirt. Pani de Forgy powtarzała ją w salonach, wicehrabia w modnych kawiarniach i w klubach. Na szczęście zakończenie nie bardzo było zachęcającem dla mających chęć spróbować tego małżeńskiego handlu, gdyż koniec końcem śmierć nielitościwa wywiodła w pole wstrętnego swego sprzymieżeńca — zdradziła go i w jego własne uwikłała sidła. Nic to zresztą dziwnego; ileż razy w interesach handlowych, bywa ktoś oszukany przez swego wspólnika.

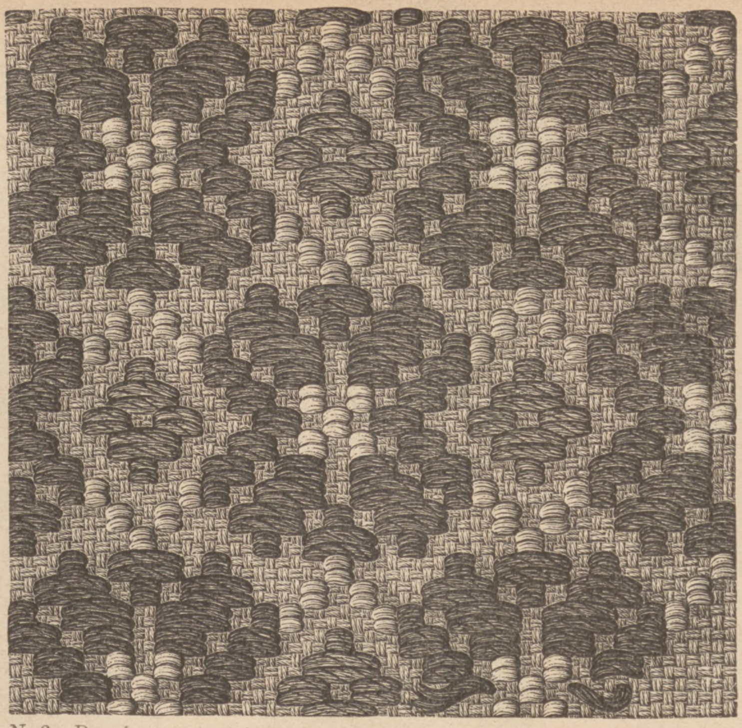
Dla pocieszenia cieniów pierwszych żon wdowców ze szkoły Henryka Smirt, dodajemy jeszcze, iż najczęściej tak się zdarza, że nareszcie umierają oni pierwsi i majątek przechodzi na żony które ich przeżyły.

Szósta żona Henryka VIII, Katarzyna Paar, umiała uniknąć okrucieństwa swego tyrana i przeżyła go zarówno jak Amedina Henryka Smirt; a któż nie wie, że ostatnia żona Sinobrodego, przywódzcy tej szkoły, została ocaloną przez swoich braci, którzy zabili niegodziwego małżonka. I ona także, zarówno jak Amedina, odziedziczyła całymajątek nieboszczyka męża i doskonale umiała sobie radzić.

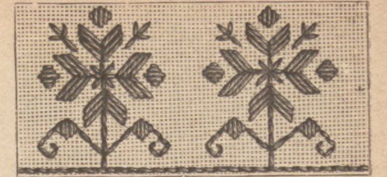
KONIEC.



N. 1. Szlaczek do ryc. 3 i 4 w N. 18.



N. 6. Deseń wyszyty ściegiem serbskim, do ryc. 5. Patrz ryc. 7 i fig. 90.



N. 2. Szlaczek do ryc. 3 i 4 w N. 18.



N. 3. Paletocik z kapturkiem dla dziewczynki lat 3—5. Patrz r. 4. Krój i deseń na arkuszu N. XV, fig. 78—85.

Opis do N. 19.

(Dokończenie.)

N. 40. Suknia z odmiennym stanikiem.

Spódnica z materyału w kratę, z szerokim wolantem, ułożonym w kontrafałdy; na tunikę, w której krata obrócona jest skośnie, potrzeba bryta 120 cent. długiego i 180 szerokiego, upiętego fartuszkowo z przodu i prostego bryta (120 długiego, 105 szerokiego) krótko udrapowanego z tyłu. Z boku na podpięciu tuniki dane naśladowanie kieszonki, z klapką zapiętą na guziczki. Stanik z gładkiego materyału, ma krótką baskinę przecinaną w proste patki, łączone kontrafałdami.

N. 45—46. Płaszczyk z peleryną beduinową. Krój na arkuszu N. X, fig. 56—59.

Odrobiony był z cienkiego, ciemno zielonego sukienka; po zszyciu przodów z plecami od Q do dołu i po sfałdowaniu pleców, podług oznaczonych znaków, dodaje się pelerynę zszytą od V do W i sfałdowaną na ramionach, złączoną z płaszczykiem od T do U i z wykrojem szyi od T do krzyżyka, z plecami zaś od X do R Dla ułożenia fałd beduinowych potrzeba po zszyciu peleryny środkiem pleców, dać szew od Y do Z, dalej od Z przez gwiazdkę do dwukropka; na rogach przyszyte są kwasty jedwabne. Wykrój szyi w płaszczyku i pelerynie wszyty jest w wązki stojący kołnierzyk (fig. 59) od R do punktu. Pletnia czarna wełniana 5, 3 i 2 c. szeroka dana w około peleryny krzyżuje się na plecach podług ryciny 45.



N. 4. Paletocik z kapturkiem dla dziewczynki lat 3—5. Patrz r. 3.

N. 53—55. Serweta. Kratka ażurowa i haft szureczkowy. Patrz ryc. 32—33 w N. 18. Dalszy ciąg szlaku patrz ryc. 89 na arkuszu.

Ryc. 53 przedstawia serwetę (174 c. szeroką), z materyału nicianego „Jacquard“ w drobny desenik z wrobionemi szlakami z kanwy Aïda, 20 i 7 i pół c. szerokiemi, danemi w odstępie 30 cent., na których wyszyte są desenie. Na szerokim pasie kanwy dany piękny szlak, starodawnym haftem sznureczkowym, zapełniony różnorodnemi ściegami, odznaczający się wypukło od tła kanwy, podzielonego w kratkę ażurową, przewiązywaną podług ryc. 54 dającej próbkę w powiększeniu. Węższe paski nie są wyszywane lecz ozdobione kratką ażurową wiązaną i wyszywaną podług r. 3 i 33 w N. 18. Dalszy ciąg



N. 8. Bukiecik zdobny motylkiem, do kapelusza.



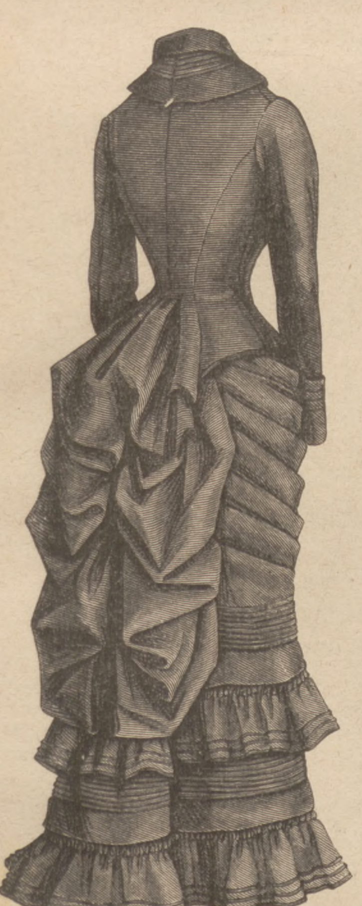
N. 5. Koszyczek do robót ozdobiony haftem serbskim. Patrz ryc. 5 i 7.



N. 7. Nitka skręcona do wyszycia ściegiem serbskim r. 6.



N. 9. Bukiecik z jagód do kapelusza.



N. 10. Suknia żałobna ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 11.

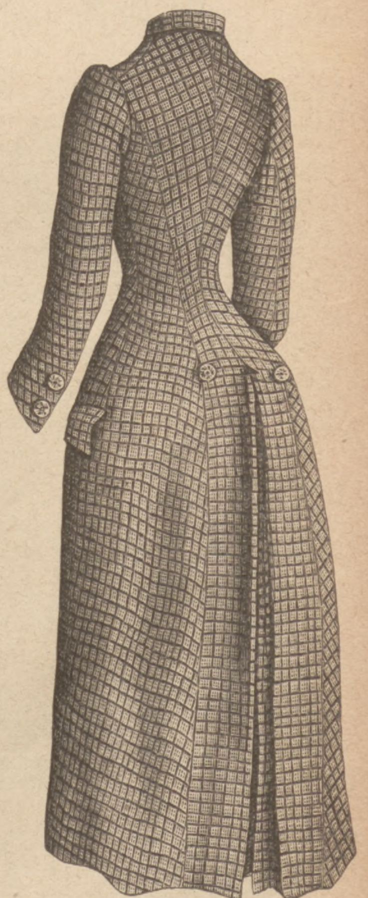


Ubrania żałobne.

N. 11. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 10.

N. 12. Suknia z przypinanym trenem. Patrz ryc. 25 w N. 18.

N. 13. Suknia z fałdowaną spódnicą.



N. 14. Okrycie długie paletotowe. Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 15—19.



N. 15. Ubranie dla chłopczyka lat 2—4.

N. 16. Ubranie dla dziewczynki lat 4—6.

N. 17. Paletocik z podwójną pelerynką dla chłopca lat 3—5. Krój i opis na arkuszu N. VI, fig. 28—33.

N. 21. Parasolik ze szlakiem plecionym z wstążki.
N. 22. Parasolik z gałązką kwiatów wyhaftowaną od spodu.

N. 26 i 27. Suknia z vêtement dla panienki lat 12—14. Kroj i opis na arkuszu N. XIV, fig. 73—77.

N. 23. Parasolik en-tout-cas z szerokim szlakiem pluszowym.
N. 24—25. Parasoliki powozowe składane z podszewką marszczoną.

N. 20. Sukieneczka fałdowana dla małego dziecka.

N. 18. Ubranie dla chłopca lat 2—4. Krój na arkuszu N. VII, fig. 34—38.

N. 19. Sukieneczka z szarfą dla małego dziecka.

N. 32. Kaftaniczek dla dziecka. Patrz ryc. 33. Krój i opis na arkuszu N. VIII, fig. 39—42.

N. 34. Krótkie okrycie z szalowemi końcami do r. 1 w N. 18. Wskazanie kroju na arkuszu N. XVIII, fig. 88.

N. 36. Okrycie z szalowemi końcami. Patrz r. 39.

N. 30. Kapelusz tiulowy wyszyty perełkami, zdobny kwiatami i aksamitką. Patrz ryc. 31.

N. 28 i 29. Krawatki do zawiązania na okryciu.

N. 31. Kapelusz wyszyty perełkami, zdobny kwiatami i aksamitką. Patrz ryc. 30.

N. 37. Okrycie z fałdowanem karoczkiem. Patrz ryc. 38.

N. 35. Pelerynka do r. 8 i 9 w N. 18. Wskazanie kroju na arkuszu N. X, fig. 58a.

N. 33. Kaftaniczek dla dziecka. Patrz ryc. 32.

N. 41. Paletocik dla dziewczynki lat 6—8. Patrz r. 42.

N. 42. Paletocik dla dziewczynki lat 6—8. Patrz r. 41. Krój i opis na arkuszu N. V, fig. 20—27.

N. 43. Płaszczyk długi. Patrz r. 44. Krój i opis na arkuszu N. II, fig. 6—10a.

N. 45. Płaszczyk z beduinową peleryną. Patrz r. 46. Krój na arkuszu N. X, fig. 56—59.

N. 49. Suknia z vêtement skośnie zapiętem. Patrz ryc. 50. Krój i opis na arkuszu N. I, fig. 1—5.

N. 44. Przód do r. 34.

N. 47. Szlaczek do r. 27 w N. 18.

N. 38. Okrycie z fałdowanym karoczkiem. Patrz ryc. 37. Krój na arkuszu N. XI, fig. 60—62.

N. 39. Okrycie z szalowemi końcami. Patrz ryc. 36. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—14.

N. 40. Suknia z odmiennym stanikiem.

N. 48. Wyszycie na kołnierzyk stojący.

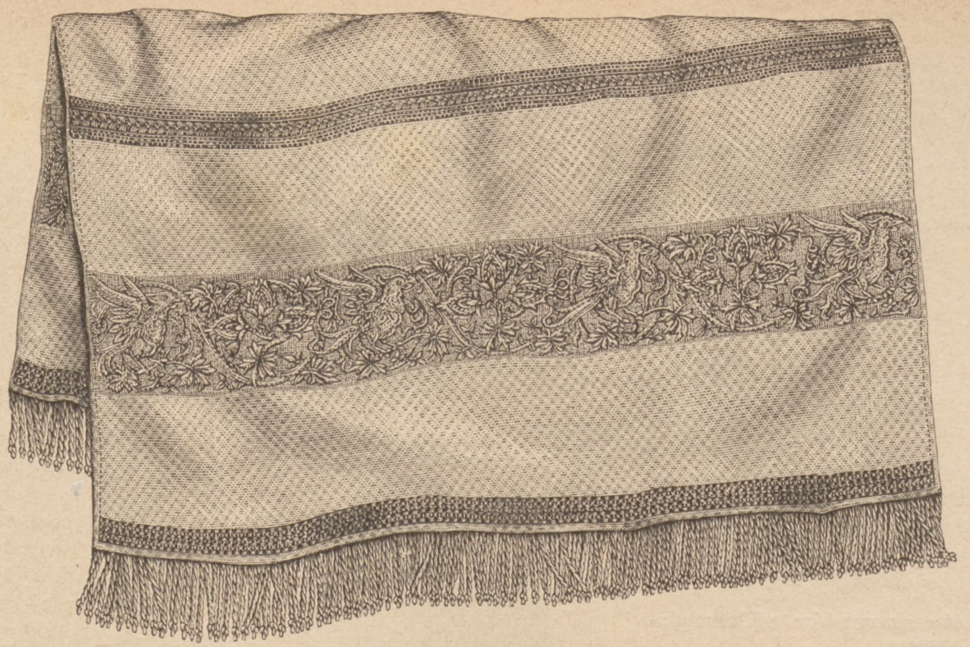
N. 46. Przód do r. 45.

N. 50. Suknia z vêtement zapiętem skośnie. Patrz ryc. 49.

deseniu na szlak szeroki ryc. 55 znajduje się na fig. 89; obie części łączą się z sobą pasując dwukropkami i krzyżykami do siebie. W hafcie sznureczkowym kontury wyszyte są nićmi na szpulce N. 35 (Königsgarn) koloru crême, a środki zapełniane różnem wyszyciem nićmi N. 20. Po skończeniu wiązania kratek podług ryc. 54, nićmi N. 80 brzegi szlaku odznaczone są prostym rzędem dziergania. Brzegi serwety zakończone kręconą frendzlą.



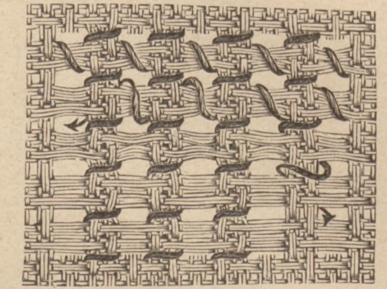
N. 51. Kokarda z wstążki ottoman przepięta agrafką. Patrz ryc. 19 w N. 18.



N. 53. Serweta. Haft sznureczkowy i kratka ażurowa. Patrz r. 54—55 tudzież r. 32—33 w N. 18.



N. 52. Kokarda z szerokiej aksamitki przepięta kotwicą. Patrz ryc. 20 w N. 18.



N. 54. Wyszycie tła z kratki ażurowej do ryc. 55.



N. 55. Szlak. Ścieg sznureczkowy i kratka ażurowa, do serwety ryc. 53.